

Kamena

LUBLIN 3 XII 1972 Nr 25 (510)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ



RYS. A. BŁEK

„Mówisz bzdury tatusiu...“

Przeczytaj
i napisz do nas!

Ten tytuł nie ma wcale na celu zachęcenia naszych miłośników, aby przeczytali ten artykuł. Wprost przeciwnie – powinni go przeczytać rodzice. Koresponduje on z niedawno zamieszczonym w „Kamieniu” felietonem pt. „Dwójka dla kogo?” Poruszony w nim problem jest aktualny nie tylko dla nas, mieszkających między Bugiem a Odrą. Okazuje się, że i Francuzi – czemu doje wyraz miesięcznik „Réalités” – mają nie lada kłopoty z przedwcześnie dojrzałymi dziećmi i zapewne – jak i nasi rodzice – nie zawsze wiedzą, jakie zająć stanowisko.

„MÓWISZ bzdury, tatusiu” – tak odezwał się siedmioletni chłopiec do swojego ojca, wybitnego profesora medycyny. Czy profesor skarcił swoją latorośl? Nie. W rozmowie z dziennikarzem oświadczył, że syn ma często rację, a w wielu zagadnieniach, zwłaszcza technicznych, orientuje się lepiej od niego!

Inna dziewczyna, Waleria, ma lat jedenaście. Po powrocie z letnich kolonii otrzymała list od swego kolegi, również jedenastoletniego ucznia. „Odkąd nie mam ciebie przy sobie – pisze Jean-Jacques – smutno mi i czuję się samotny. Przesyłam ci zdjęcie, żębyś ciągle o mnie myślała i jak najszybciej do mnie napisała”.

Waleria nie ukrywała tego listu przed matką. Ta obejrzała zdjęcie 11-letniego wielbiciela, stwierdziła, że robi bardzo dobre wrażenie, a jednocześnie pomyślała: „W jej wieku, po pierwsze, nigdy takich listów nie dostawałam, a po drugie, gdybym była coś takiego nawet dostała, to nigdy nie przyznałabym się wobec matki. Dziś dzieci dojrzejwią bardzo wcześnie...”

Hmm... Jest faktem naukowo ustalonym, że w krajach rozwiniętych pod względem przemysłowym wiek dojrzałości płciowej jest obecnie niższy o dwa lata aniżeli przed pół wiekiem. Z drugiej strony nie ma końca dyskusjom na temat: czy przedwcześnie dojrzała młodzież uczy się lepiej? W sposób naukowy udało się jedynie ustalić, że taka młodzież uczy się niewątpliwie łatwiej, ale też ma dużo bardziej rozwinięty zmysł krytyczny i zaczyna mniej szanować zarówno wychowawców jak i rodziców.

Dzieci dzisiejsze rozwijają się w zupełnie innym otoczeniu i środowisku niż przed stu laty. Na początku ery uprzemysłowienia nawet siedmioletnie dzieci pracowały w manufakturach i warsztatach. Obecnie w większości krajów świata praca fizyczna dzieci w wieku poniżej lat 14 jest zakazana.

Wielu uczonych jest zdania, że dzieci pracujące od wczesnego wieku fizycznie rozwijały się dużo wolniej niż dzieci, które tylko kształcą się i mają dużo czasu na zabawę. W manufakturach i warsztatach dzieci były zapędzane do pracy ogłupiającej, która nie dawała im żadnej możliwości lepszego poznania otaczającego je świata.

W XIX wieku wprowadzenie obowiązkowego systemu kształcenia dzieci w szkołach podstawowych miało niewątpliwie wpływ pod wieloma względami dobroczynny, ale cały ówczesny system edukacji miał wiele wad. Uważano, że umysł dziecka jest „pustym zbiornikiem”, który trzeba wypełnić różnymi wiadomościami, a poza tym trzeba dziecku wpoić cały szereg zasad moralnych i religijnych. Panował głęboko rozpowszechniony pogląd, że człowiek dorosły nie może się niczego od dzieci nauczyć. Zjawili się jednak Freud, który uważał, że „dziecko jest ojcem człowieka”. Dzisiejsze poszanowanie osobowości psychicznej dziecka jest jedną z konsekwencji tego rewolucyjnego stwierdzenia Freuda. Zezwala się więc dziecku na samodzielne myślenie, na własne dociekania i zezwala mu się, aby



Fot. R. Krupnow

CZTERY razy składał podanie o zwolnienie z funkcji przewodniczącego prezydium motywując prośbę a to złym stanem zdrowia, a to lukami w wykształceniu i za każdym razem spotykał się z kategorię odmową: „Co wy tu z tym papierkiem...! Łosy miasta wam Niemile? Gdzie my znajdziemy podobnego człowieka?! Nie, nie zwolnimy was. Zrozumcie...” Kolejne podania znikały głęboko na dnie biurkowych szuflad. A jedno zostało nawet demonstracyjnie spalane przed nosem „petenta”. Odmowa za odmową, kadencja za kadencją – minęło dwadzieścia lat, jak z bicza strzelił. Ale też w owym czasie miasto Bilgoraj nad rzeką Ładą rozciągnięte, z si-

wika, przyszedł na świat syn pierworodny, Kazimierz? Było to miasteczko zagubione gdzieś w lasach Ordynacji Zamojskiej. Drewniane. Przypadłe do ziemi. Błotniste. Ośiem tysięcy mieszkańców – w tym polowa Żydów – liczące. Biednie żyjące z uprawianego systemem chłupniczym sitarstwa, z handlu drewnem. W centrum miasteczka, na środku rynku, wznosił się piętrowy ratusz, obok niego remiza strażacka z salą, w której wyświetlano filmy. Najbardziej okazały budynek w mieście stał gdzieś indziej, przy ulicy Kościuszki – tak zwany „dom Szyrmy”. Był znany i podziwiany, jako że miał... balkony, które przyszyły mu wielkomięskiemu sztyku. Ale rodzina cieśli Ludwika mieszkała z dala od owych lokalnych wspaniałości, w tej części Bilgoraja, która nazy-

Człowiek był jak ten ptak...

Miroslaw Derecki

tarstwa i ubóstwa z dawien dawna znane, zmieniło się nie do poznania: wystrzelilo w górę nowoczesnymi blokami mieszkalnymi, porosło w rozległe zakłady przemysłowe zatrudniające kilka tysięcy osób. A w tym, że tak a nie inaczej się stało – wielka zasługa jego właśnie, przewodniczącego Prezydium MRN, Kazimierza Ludwika, rodaka tutejszego z dziada pradziada, niedoszłego cieśli, kawalera orderu Virtuti Militari, chłopaka niegdyś młodego, który w świat z rodzinnego miasteczka się wyrwał i byłby pewnie nigdy nie wrócił i swojej cegły do budowy nowego Bilgoraja nie dołożył, gdyby mu wojna obydwu dłoni nie zabrała...

„Szukacie ciekawych ludzi?” – spytano mnie w Komitecie Powiatowym. – „Interesuje was jak ludzie rosną? To spróbujcie pojąć za język przewodniczącego Ludwika. Jak się wam uda – nie pozajęcie”. Nie pozajętem.

Jakiż był ten Bilgoraj przed laty bez mała pięćdziesięciu, kiedy w domu miejscowego cieśli, Feliksa Lud-

wała się wówczas Roznówka Podmylnie, gdzie cicho płynęła rzeka Łada, zaś głośno warczały dwa młyny. Niewielki drewniany domek wystawił własnymi rękami dziadek Marcin, sławny w okolicy nie tylko z tego, że domy sprawnie budował, ale i z chlubnej przeszłości w młodości zamiast pójść w soldaty do lasu zbiegł, tam do partii powstańczej przystał – bo właśnie Powstanie styczniowe się rozpalało – i czynów licznych bitewnych dokonał, o czym chętnie wnukom, a wśród nich Kazimierzowi, opowiadał. Dziadek Marcin z jednej jeszcze rzeczy słyszał, a to z umiejętności leczenia koni i kto wie, czy by do pieniędzy w życiu nie doszedł, gdyby nie fakt, że był człowiekiem nieprawomysłnym, dzieci swoje i sąsiadów czytał i pisał po polsku uczył i przez to władze carskie jak mogły utrudniały mu życie. Wywarł wielki wpływ na wnuka Kazimierza i kiedy w dziewięćdziesiątym roku życia zaszedł z tego świata, chłopiec długo nie mógł się pogodzić z jego śmiercią.

W takiej oto atmosferze rodzinnej i w takim otoczeniu Kazimierz Ludwik skończył szkołę powszechną i rodzice zaczęli się poważnie zastanawiać, jak pokierować dalej losami

Dokończenie na str. 6-7



50 LAT ZSRR

SOCJALISTYCZNA I WIELONARODOWA

Zdzisław Romanowski

CZYNGIZ Ajtmatow jest jednym z najbardziej znanych u siebie w kraju i zagranicą pisarzy radzieckich. Średniego pokolenia. Ajtmatow to rosyjsku Kirgiz, pisarz, który swoją tematykę czerpie z kirgiskiej współczesności i przeszłości, wyrażając się właśnie w języku ro-

syjskim. Nie jest on zjawiskiem odosobnionym. Po rosyjsku przekazuje swe artystyczne wizje mówiąc o losach niewielkiej północnej narodowości znakomity radziecki pisarz, Czukecza Jurij Ritcheu, autor autobiograficznej powieści „Gdy tają śniegi”, Mansa Juwan Szetalow czy Nanajec Grigorij Chodżer. A równocześnie w panoramie współczesnej

literatury radzieckiej znajdują się także nazwiska, jak piszący w swym ojczystym, jukagirskim języku przedstawiciel narodowości liczącej 450 osób – Jukagir Siemion Kurilow. Napisał on powieść „Chamido i chalercha” – „Orlątko i mewa”, mówiącą o losach małej narodowości w okresie, kiedy do tundry z jej odwiecznymi zwyczajami weszła

rewolucja. Jurij Ritcheu i Siemion Kurilow, każdy w inny sposób, ale obaj dzięki temu, że są członkami wielkiej społeczności radzieckiej, znaleźli się od razu na głównej orbicie kultury.

Ostatnio Ajtmatow ujawnił dziennikarstwo, że pracuje nad przekła-

Dokończenie na str. 8

Uwaga Czytelnicy: następny numer „Kamena” ukaże się w podwójnej objętości: 24 strony-4 złote. Obok wielu interesujących materiałów – m.in. „Kartoteka Wańkowicza” – specjalny magazyn świąteczny oraz konkurs z cennymi nagrodami – wśród nich magnetofon i radio.

Dokończenie na str. 5

Literatura

W Radziejowicach koło Warszawy odbyła się dwudniowa narada prezydium Zarządu Głównego ZLP i Związku Pisarzy NRD na temat aktualnych problemów obu środowisk.

3 listopada niemiecki bez echa minęła 25 rocznica śmierci Bolesława Leśmiana, a równocześnie 60 rocznica wydania jego pierwszego tomiku poezji pt. „Sad rosnący”.

W latach 1944-1969 wydano w Polsce 276 tytułów z literatury skandy-nawskiej (duńskiej, norweskiej, szwedzkiej i islandzkiej) o łącznym nakładzie 800 tys. egzemplarzy.

„Czytelnik” zapowiada wydanie osobnego, jubileuszowego wydania „Cichego Donu” Szolochowa, powieści wciąż cieszącej się u nas wielkim powodzeniem.

Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się (w dwóch tomach, ale w nakładzie tylko 3 tys. egz.) książka o powieści Simone de Beauvoir „Drugie płęci”, poświęcona problemowi kobiecości.

Nagrodę Literacką Komsomolu za rok bieżący otrzymali dwaj poeci: Michail Swietłow (poimiertnie) oraz Robert Rodziestwieński. Ten ostatni ma już lat 46. W wywiadzie powiedział: „Chwila, w której poeta przestaje czuć się młodym, jest jednocześnie kresem jego możliwości twórczych”.

Wielką nagrodę krytyki literackiej w Francji za rok 1972 otrzymał pisarz-komunistą André Wurmser, głównie za prace o twórczości wielkich klasyków francuskich.

Ostatnia powieść Simonona „Maigret et M. Charles” została niemiłosiernie zjechała przez krytyków, którzy twierdzą, że gdyby to nie była powieść Simonona, żaden wydawca nie opublikowałby takiej miernoty pisanej w dodatku nieudolnym stylem.

Teatr

Tegoroczny przegląd sztuk rosyjskich i radzieckich w woj. katowickim obejmie 32 spektakle w 24 miejscowościach. Inauguracja odbyła się z Zabrzu sztuką „Lubow Jarowa” Treniewa.

Warszawski Teatr Polski wystawił jedną z najpiękniejszych komedii szekspirańskich — „Jak wam się podobą” w reżyserii Krystyny Meissner.

Jubileusz 50-letniej pracy scenicznej obchodzili Roman Szmara, od 28 lat związany z Teatrem im. Jaracza w Olsztynie.

Pięciu młodych aktorów z Opola utworzyło grupę „Proscenium 2”, która rozpoczęła działalność wystawianiem sztuki dziennikarza krakowskiego Henryka Cyganika „Cztery parasole — Improwizacja opołańska”. Cała działalność grupy ma być kierowana do młodych widzów, których „odzew, współpraca, aproba i sprzeciw jest podstawową racją naszego istnienia”.

Konrad Swinarski, reżyser i scenograf, tak określił swój stosunek do teatru: Teatr może być „poniżej pa-sa” kiedy niesie tylko wartości konsumpcyjne, „powyżej” jeśli właśnie polityczne, może też być „od małego palca nogi do czubka głowy” jeśli pokazany jest w nim człowiek w powiązaniu ze społeczeństwem.

Państwowy Ukraiński Teatr Dramatyczny im. Iwana Franki w Kijowie, który ostatnio przebywał w Polsce, zamierza zorganizować w Kijowie festiwal dramatyczny krajów socjalistycznych.

W październiku minęło 300 lat od chwili, gdy w carskiej Rosji odbyło się pierwsze przedstawienie teatralne — w letniej rezydencji cara w Przeobrażensku pod Moskwą. Pierwszy zawodowy teatr publiczny działał w Petersburgu od roku 1736.

W Londynie z dużym rozmachem obchodzone 50 rocznice urodzin i 70 rocznice pracy scenicznej zastępowanej aktorki Sybill Thorndike. To „pod nią” napisał swoją sztukę „Sw. Joanna” jej długoletni przyjaciel, G. B. Shaw.

Sztuka

Przebieg 2 tys. fotografii z całego świata nadesłano na VII Salon Fotografii Artystycznej w Katowicach.

7 listopada 1941 roku tylko w dwóch miastach świata obchodzono oficjalnie rocznicę Rewolucji: w Moskwie i w Ulicy. Ulica to wówczas 7-tysięczne miasteczko w południowej Serbii nad rzeką Drietina. Już w wyborach powiatowych w roku 1920 Komunistyczna Partia Jugosławii otrzymała tam większość mandatów. Gdy Hitler zaczął grozić Jugosławii, w Ulicy narodziło się hasło: lepsze groby niż okowy.

I właśnie w okolicach tego miasteczka 7 lipca 1941 roku padły pierwsze strzały w akcjach zbrojnych przeciwko okupantom, które miały tam już 7 oddziałów partyzanckich. 21 września pod ich naporem oddziały hitlerowskie musiały się wycofać. Nad wyzwolonym miastem powstawały standardy partyzanckie, rozpoczęła działalność władza ludowa, uruchomiony tu swoje siedziby KC Komunistycznej Partii Jugosławii, sztab główny Wojsk Narodowo-Wyzwoleńczych, Główny Komitet Narodowo-Wyzwoleńczy Serbii itd.

W ten sposób powstała Republika Użycka, pierwsza tego rodzaju jednostka w Europie na okupowanych przez hitlerowców ziemiach. Robotnicy z własnej inicjatywy uruchomili starą fabrykę broni, produkując w niej codziennie 40 karabinów, a do każdego karabinu przynajmniej 100 pocisków. Tu zaczęła wychodzić odrodzona „Borba”, w której pierwszym numerze ar-

tykuł wstępny wyszedł spod pióra Józefa Broz-Tito, artykuł będący przyjętym przez narody Jugosławii programem walki wyzwolenia i rewolucji społecznej.

Aby zgineć to miasto oporu, Niemcy skoncentrowali potężne siły wojskowe i policyjne. Dowództwo partyzantów postanowiło wyprowadzić swoje oddziały w góry. Ale ktoś musiał bronić odwrotu. Uformował się wtedy ochotniczy batalion robotniczy, który zajął pozycję 14 km od miasta na wzgórzach Kadinača. Robotnicy-zołnierze wiedzieli, że żaden z nich nie przeżyje ataku wroga. Tak się też stało, powtórzyle się w Termopile. W końcu listopada Republika Użycka przestała istnieć. Ale właśnie od tej chwili ruch oporu, któremu przewodziła KPJ, zaczął przybierać na sile, w grudniu w górach powstała Pierwsza Brygada Proletariacka, zaczął się ruch Narodowo-Wyzwoleńczy, których epopeja wojenna doprowadziła do oswobodzenia Jugosławii i przekształcenia jej w kraj socjalistyczny.

Dziele Republiki Użyckiej przedstawiała społeczeństwu Lublina wystawa w Muzeum Okręgowym, obejmująca szereg fotografii i reprodukcji dokumentów, oryginalną broń partyzancką oraz skrzynie z pociskami, na których widniał czerwony napis: „Nie oszczędzaj!” Drugą część wystawy pokazywała dzisiejsze, już 35-tysięczne, nowo-uczone miasto, noszące nazwę Titoowa Ulice. Była to ciekawa i pouczająca wystawa. Oby więcej takich.

Muzyka

W Poznaniu odbyła się VI Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego. Pierwszy odbył się w Warszawie w 1935 roku, następny już w Poznaniu w 1952 roku. Dotychczas w konkursach występowało 168 skrzypków oraz ponad 200 lutników i kompozytorów z 28 krajów. Kompozytorzy przedstawili 224 kompozycje, a lutnicy 580 skrzypiec.

Piotr Paleczny trzykrotnie wystąpił w Hiszpanii, m. in. na inauguracji sezonu muzycznego w Madrycie.

Jerry Jurandot napisał współczesną komedię trochę satyryczną, z piosenkami, muzyką i baletem — a więc chyba musical. Tytuł: „Prawo pierwszej nocy”. Muzykę pisze Leszek Bogdanowicz. Kiedy i gdzie musical będzie wystawiony, jeszcze nie wiadomo.

Film i telewizja

Nagrodę im. Andrzeja Munka otrzymał reżyser Edward Zebrowski za film „Ocalenie” — przyznaje się ją za najlepszy debiut roku.

W grudniu mają rozpocząć się zdjęcia do polsko-radzieckiego filmu „Zapamiętaj imię swoje”. Reżyserować będzie Siergiej Kolesow, twórcą m. in. „Minerów podniebnych dróg”.

Różne

W Warszawie odbyło się walne zgromadzenie członków Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza”. W ciągu prawie 25 lat istnienia spółdzielnia wydała 8,5 tys. tytułów książek w łącznym nakładzie ponad 250 mln egzemplarzy. W roku bież. ukaza się 250 tytułów.

W telewizyjnych rozgrywkach „Wielkie Gry”, która właśnie obchodziła 10-lecie istnienia, bralo dotychczas udział 1000 osób — z nich 40 zdobyło najwyższą nagrodę wartości 25 tys. zł. W częściach artystycznych występowało 500 aktorów, piosenkarzy, tancerzy i satyryków.

W Kamieniu Pomorskim otwarto Dom Pracy Twórczej dla literatów, aktorów, artystów, muzyków i dziennikarzy, przede wszystkim tych ze Szczecina.

W 75 rocznicę urodzin francuski pisarz-komunistą Louis Aragon otrzymał Order Rewolucji Październikowej, przyznany mu przez Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

W przyszłym roku rozpocznie się w Warnie budowa pierwszego w Bułgarii ośrodka muzycznego. Obejme on salę operową (1200 miejsc), koncertową (1000 miejsc) i salę szkoły muzycznej (250 miejsc), wszystkie naturalnie z odpowiednim zapleczem, klimatyzacją itp.

Decyzją francuskiego ministra kultury został zamknięty na czas nieokreślony słynny teatr paryski Comedie Francaise. Trudności spowodowane są energicznym domaganiem się przez personel polepszenia warunków nie tylko placowych, ale przede wszystkim warunków pracy.



STATNIO niewiele kontaktowało się z nim osobiście. Spowodowało to tryb życia, jaki sobie narzucił — surowy i samotniczy. Mimo woli przychodził na myśl przykład Pelpera, który czynny kłódką organizator życia literackiego z czasem skazał się na dobrowolne społeczne wygnanie.

Ale mimo samotnictwa Waclawa Gralewskiego w ciągu ostatnich lat Jego życia wiadomo było, ile nazwisko to znaczy na przestrzeni całego półwiecza. Gralewski był najbardziej lublińnianinem ze wszystkich lubelskich ludzi pióra, ze wszystkich ludzi w Lublinie zainteresowanych sprawami kultury. Tu się urodził, tu spędził 72 lata swojego życia, tu umarł.

Oryginalna postać. Nigdy nie splamiał się schematem, jeśli ten schemat był przyjęty powszechnie. Narzucał sobie schematy własne, wyszukanie przekorne. Małżeństwa nie zawarł. Miał wiele odznaczeń, ale żadne z nich nie pokazało się na klapie Jego marynarki, natomiast było tam miejsce dla emblematu AZS wydanego na 50-lecie tej organizacji. Prowadząc samotniczy tryb

Obecność nie zamknięta śmiercią

życia, rzadko kiedy skorzystał z usług zakładu gastronomicznego, natomiast często można Go było spotkać z siatką na aprowizacyjne zakupy. Sakramentalnym nakryciem jego głowy była brezentowa dziołka, noszona niezależnie od pory roku i okoliczności towarzyskich. Musiała to być duża miara oficjalna uroczystość, żeby Gralewski na nią przyszedł bez wyznaczków oryginalności swego stroju.

Ale naczelnym Jego hobby, uprawianym ze stałą konsekwencją było przestrzeganie prawidłowości formalnych. Ten poeta, członek awangardowej, niemal światoburczej grupy poetyckiej, redaktor i człowiek, który nigdy nie był urzędnikiem, tak namiętnie walczył o przesadę w uściśnianiu form organizacyjnych, że najzawziędziej biurokrata był przy nim zwolennikiem niepoprawnego leseferyzmu. Ileż satysfakcji widzieliśmy w całej Jego postaci, kiedy w protokole posiedzenia udało Mu się wykręcić sformułowanie inaczej brzmiące od analogicznego w danej kwestii sprzed lat pięciu. Potrafił chyba napisać rozprawę doktorską na temat otrzymanego zawiadomienia o zebraniu.

Co jest tym bardziej zdumiewające, że szlak zainteresowań Jego ruchliwego umysłu prowadził przez obszary astralne, które sama astronomia pozostawiała okultyzmowi. Często mówił o psychologii twórczości, ale w stosunku do Jego pojmowania tych zagadnień prawdziwa psychologia miała się tak jak fizyka do metafizyki, jak chemia do alchemii. Był jednak niezrównanym gadaczem. Można było podać w

wątpliwie wszystko, co mówił, nie sposób było Go nie słuchać. O ile Jego dawny przyjaciel Konrad Biel-ski zyskał miano lubelskiego Franca Fiszera, o tyle Gralewski był lubelskim Münchausenem.

Należał do ludzi „wiecznych”. Długo w naszym mieście, którzy tak się zrośli z Jego kulturą, inlejtową organizacją społeczną, że przestali jak gdyby podlegać uwarunkowaniom egzystencjalnym. Wydawało się, że nie może Go zabraknąć, inaczey zabrakłoby czegoś na ulicy Kościuszki, na której mieszkał przez pół wieku. Czy Lublin po tej śmierci nie przestanie być Lublinem?

A jednak nie można mówić o tym w czasie przeszłym. Wprawdzie 72 lata życia dobiegły swego końca, ale przecież sam dźwięk tego nazwiska zawsze wywoła skojarzenia ze specyficzną zjawisk, które nazwisko to obejmuje. Autor „Stalej tęczy” zdążył przekazać klimat literackiego życia czasów międzywojennych, a przede wszystkim fenomenem poezji Czechowicza, z którym przez długi czas kontaktował się na stopie przyjacielskiej. Odechodząc nie zostawił miejsca pustego. Zawsze będzie zapelnione echem Jego dowcipu, Jego dykteryjek, Jego głosów w dyskusjach, Jego zastrzeżeń. Nie wykluczone, że kiedy w organizacji, do której należał, w Lubelskim Oddziale Związku Literatów Polskich zapomni się przeczytać protokołu z poprzedniego zebrania, rozlegnie się zdecydowane i ostrzegawcze:

— Proszę o głos!
Będzie to Waclaw Gralewski, oderwany na moment od polemiki z Panem Bogiem na temat regulaminu niebieskiego.

Brandt po raz drugi

WIELKA batalia polityczna w NRF, jaką były wybory do Bundestagu, zakończyła się zwycięstwem koalicji rządowej SPD-PPD. Najsilniejszą obecnie partią okazała SPD, która zdobyła 45,9 proc. głosów (w poprzednich wyborach — 42,7 proc) i 230 mandatów (poprzednio 224); FPD uzyskała 8,4 proc. głosów (przed trzema laty 5,8 proc.) i 42 mandaty (poprzednio 30). Opozycja CDU/CSU zanotowała na swym koncie 44,8 proc. głosów (224 mandaty wobec 242 w poprzednim Bundestagu). Były to dla niej gorsze wybory od 1949 roku, ale wtedy do walki stanęło 11 ugrupowań politycznych. W stosunku do wyborów sprzed trzech lat CDU/CSU straciła 1,3 proc. głosów.

Interesującą wypadka porównanie liczby mandatów SPD w Bundestagu w czasie dotychczasowych sześciu i obecnej sódmej kadencji. W 1949 r. było tylko 131 deputowanych z ramienia SPD, w 1953 — 1951, w 1957 — 169, w 1961 — 190, w 1965 — 202, w 1969 — 224, obecnie — 230. Te liczby mają na pewno swoją wymowę. A szczególnie charakterystyczny jest fakt, że po raz pierwszy w historii NRF zdołała wprowadzić do parlamentu największą liczbę własnych deputowanych. Jako najsilniejsza partia ma również prawo designować swego przedstawiciela na przewodniczącego Bundestagu.

Przy okazji warto przypomnieć, że dla CDU/CSU najbardziej owocne były wybory z 1957 r. Zdobyły wówczas 59,2 proc. głosów, 270 (na 497) mandatów i pełnię władzy. Ster rządów sprawował kanclerz Adenauer, ministrem obrony był osławiony Strauss, ordonownik zimnej wojny, zdecydowany przeciwnik polityki odprężenia. Nic dziwnego, że obecnie jedno z kontrhasł koalicji rządzącej brzmiało: „Kto głosuje na CDU/CSU głosuje za Strausem!”

Od 1957 roku wiele się jednak na świecie zmieniło, diametralnie różna jest też sytuacja w samej Europie. Rząd Brandta-Scheela, pierwszy z rządów NRF, zrozumiał nowe trendy i mimo zacieklej kampanii opozycji dostosował do nich zagraniczną politykę swego kraju.

Sukces SPD, a co do tego są zgodni wszyscy komentatorzy, jest w dużej mierze sukcesem samego Brandta. „France-Soir” tak pisze o obecnym przywódcy NRF: Brandt jest człowiekiem, który zaakceptował podział Niemiec i granice wytyczone w wyniku wojny, wywołanej i przegranej przez hitlerowców. Przede wszystkim zaś jest to człowiek, który przedzie do historii za to, że upadł na kolana przed pomnikiem wzniesionym ku czci męczenników Warszawy... Głosząc za nim wyborcy Republiki Federalnej, a w szczególności młodzi, wypowiedzieli się za polityką odprężenia i porozumienia w całej Europie. A „New York Times” określa wynik wyborów jako historyczne zwycięstwo kanclerza Brandta.

NRF-owski „Frankfurter Rundschau” nazywa 19 listopada 1972 roku dniem, w którym skończyła się era Adenauera. Motywuje to w ten sposób: dotychczas w układach politycznych w NRF decydującą pozycję zajmowała formacja stojąca na prawo od centrum. Teraz większość zdobyła pozycja stojąca na lewo od centrum.

Nie może być żadnej wątpliwości, że rola Barzela jako przywódcy CDU została poważnie nadwątlona. Dają się słyszeć głosy, że może nawet dojść do nadzwyczajnego zgładu tej partii i zmian personalnych. Wybory wykazały bowiem, że linia polityczna opozycji rozwinęła się ze społecznym odczuciem większości obywateli NRF, gdzie coraz większego znaczenia nabiera pokolenie, którego po prostu nie było na świecie lub dopiero się rodziło, gdy Hitler sięgał po władzę. Dla tego pokolenia pojęcie jedności Niemiec ma już inny wydźwięk, a hasła pokojowe, zapewniające bezpieczeństwo i stabilizację, są bardziej atrakcyjne, bardziej przemawiające niż próby kontynuowania polityki z pozycji siły, skazane zresztą nieuchronnie na fiasko.

Faktem jest, że opozycja, obserwując poczynania Brandta i sledząc reakcje własnego społeczeństwa, a także wsłuchując się w głosy opinii światowej, nie była w stanie zająć konsekwentnego stanowiska wobec realizacyjnych poczynań koalicji rządowej. Wróćmy na moment, żeby nie być golo-

slownym, do początków rządu Brandta-Scheela. Kiedy rząd ten podpisywał układ o nierozpowszechnianiu się broni termojądrowej, opozycja wszem i wobec głosiła, iż jest to cios dla bezpieczeństwa NRF. Kiedy zaś SPD i FDP, wyciągając wnioski z wojny przegranej przez hitlerowskich najezdźców, zapoczątkowała tzw. politykę wschodnią, kanclerz i minister spraw zagranicznych NRF zostali przez CDU/CSU oskarżeni o zdradę kraju, o wyprzedził narodowych interesów, co było absolutnym nonsensem. Jako że nie można wyprzedzać tego, czego się nie ma, w marcu jednak upływu czasu, zmieniającego się klimatu na świecie i w Europie, wzrostu poczucia bezpieczeństwa, opozycja, przynajmniej w słowach, musiała zmienić swą taktykę. Po porozumieniu radziecko-amerykańskim, po wizycie Nixona w Moskwie ngwet Strauss zaczął nieco tonować swe wypowiedzi, co wcale nie oznaczało, że jego poglądy przeszły generalną metamorfozę. Ta zmiana taktyki szczególnie dała się zauważyć w odniesieniu do polityki wschodniej Brandta, kiedy to opozycja po totalnej krytyce rządu dokonała nagłego zwrotu i zaczęła atakować już nie samą politykę, ale „metody” tej polityki. Nie była w stanie — wobec przeważających nastrojów opinii publicznej i wydarzeń na arenie międzynarodowej — jej odrzucić, a więc zaczęła ją rozwijać poprzez forsowanie jednostronnych, nie mających wagi dokumentu międzynarodowego, rezolucji. W ten sposób udało jej się przechylić w ostatnich wyborach głosy najbardziej reakcyjne, ale nawet one nie zdolały wyrównać głosów tych obywateli NRF, głównie młodych, często uczestniczących po raz pierwszy w wyborach, dla których program koalicji rządowej wydał się bardziej pożądanym.

Wyniki CDU/CSU, aby platformę walki przedwyborczej przenieść na sprawy wewnętrzne, często związane z bezpośrednią konsumpcją, nie daly spodziewanych rezultatów. Gospodarka NRF, aczkolwiek przeżywa pewne wstrząsy, daleka jest od stanu kryzysowego. Przedtęczyła się stabilizacja cen na podstawie artykułów żywnościowych, ale przy tym musiał dać sobie pytanie, czy w razie zwycięstwa chadeckiej będzia pod tym względem lepiej? W latach rzeczy żadnych konkretnych gwarancji nie miał, bo mieć nie mógł. Z drugiej strony gdy przedtęczył wyborca miał pełne podstawy sądzić, że zapoczątkowany przez rząd Brandta-Scheela klimat odprężenia może — gdyby zwyciężyli CDU/CSU — zostać co najmniej zamrożony. W obliczu projektowanej ogólnoeuropejskiej konferencji bezpieczeństwa dojdzie do władzy rząd Barzela-Straussa zapewne usztwiałoby zagraniczną politykę NRF, a także stanowiłoby bodziec dla najbardziej agresywnych sił w samych Stanach Zjednoczonych. Oczywiście sa to przewidywania, ale, jak uczy praktyka, oparte na konkretnych faktach.

Dlatego też polska opinia publiczna, a dał temu wyraz nasz premier, gratuluje zwycięstwa Brandtowi, z zadowoleniem powitała fakt, że w Bonn nie doszło do drastycznej zmiany warty. Nie znaczy to wcale, że możemy na przykład już bez zastrzeżeń zgodzić się z twierdzeniem „Frankfurter Rundschau”, iż 19 listopada skończyła się era Adenauera. CDU/CSU nie ujęła steru rządów, przegrała walkę wyborczą, to prawda, ale przecież nadal wpływy ma silne, reprezentuje, bądź co bądź, głosy niemal 45 proc. wyborców.

Oczekując dalszej normalizacji stosunków między Polską i NRF i licząc na nią, będziemy pilnie obserwować poczynania nowego rządu zachodniemieckiego, który uzyska teraz lepsze możliwości działania. Papierkiem lakmusowym będzie tu nie tylko praktyczna realizacja przez NRF układów zawartych z Polską i ZSRR, ale również z Niemiecką Republiką Demokratyczną, a może nawet zwłaszcza z NRD, jako że układ między NRF a NRD rozdził się najciężej. Jednocześnie nie zapomniemy o rozległej sferze ideologicznej, która stanowi problem sam w sobie, o tych koncepcjach SDP, które daleko odbiegają od koncepcji międzynarodowego ruchu robotniczego i naszej partii. Nie odstępować od nich ani na jotę — w ideologii nie ma kompromisów — gotowi jesteśmy zawsze kontynuować wysiłki w celu utrwalenia bezpieczeństwa w Europie i zapewnienia spokojniejszej przyszłości dla współczesnego jak i dla przyszłych pokoleń. Dotychczasowa polityka kanclerza Brandta w tej dziedzinie jest dla nas znacznie bliższa niż poczynania zachodniemieckiej chadeckiej, jeśli w ogóle można tu jakkolwiek porównania czynić.

Rozmowa z kierownikiem
Wydziału Kultury Prez. WRN
w Lublinie mgr. Jerzym Cywoniukiem



Fot. CAF (Z. Jankiewicz)

— Pani kierowniku, zdajemy sobie sprawę, że byłoby nadmierne natężenie oczekiwań pełnego zespołu zasad, jakie ma pan wprowadzić w praktykę kierowanego przez siebie wydziału, ale jakiego „credo” działać chyba już dziś dążyć się wprowadzić choćby na podstawie spostrzeżeń poczynionych poprzednio.

— Tak. Szczególnie zgadzam się z początkiem pańskiego oświadczenia. Jeśli miałbym naszkicować plan zamierzeń, to rozmowa odbywa się co najmniej o miesiąc, a może i dwa za wcześniej. Tyle bowiem przeznaczam sobie na naukę, na możliwie dokładne zaznajomienie się ze zjawiskami, faktami, a nawet szczegółami tego obszaru zagadnień, jaki ma mnie interesować. Nie wszystko da się wynieść z doświadczeń poprzedniego miejsca pracy. A więc mój pierwszy krok to po prostu zbieranie informacji. Chcę odwiedzić wiele placówek, instytucji, urzędów, chcę naocznym oglądem zetknąć się z całą problematyką terenu.

Dodałbym może jeszcze, że postawa, jaką w tych sprawach przyjmuję, jest postawą praktyka. To znaczy realizowanego przekonania o tym, że działalność na polu upowszechniania kultury, szczególnie w warunkach naszego województwa, z początkiem prowadzić możemy przede wszystkim zwracając uwagę na końcowe stadium zamierzeń, a więc to, które przetrwa w życiu, w rzeczywistości. To oczywiście nie jest minimalizm, ale przypuszczam, że wiele niepowodzeń naszego działania wynika stąd, że czasem za dużo na raz podejmujemy, przez co materiał sypie się nam przez ręce, a czasem zanadto problematyzujemy, co z kolei zatrzymuje intencję realizacji. Ja proponuję stanowisko pośrednie, bynajmniej nie przez oportunizm, ale przez wymienioną już orientację praktyczną.

— I chyba sama aktualna rzeczywistość daje temu nastawieniu najsposobniejszą okazję.

— Ma pan na myśli nowy podział administracyjny. Oczywiście. Gmina jako nowe centrum życia administracyjnego wai musi w możliwie krótkim czasie zażętnić życiem również kulturalnym, a w związku

z tym mamy przed sobą cały obszar zadań — powiedziałbym — nawet wykraczających poza dotychczasową praktykę. Stworzyć coś takiego, co w pełni usprawiedliwi nazwę Gminny Ośrodek Kultury. Przesądnie optymistyczne, a właściwie zacierające obraz widzenia naliczyło GOK-ów w naszym województwie coś ponad 40. Po weryfikacji trzeba to spać na 22. A więc otwiera się zadanie nie tylko umocnienia już istniejących, ale rozpoczęcia budowy sieci nowych placówek na wyższym szczeblu administracyjnym i o wyższym standardzie merytorycznym.

organów samorządnych coraz częściej wkraczają sprawy kultury. Również na wyraźne podkreślenie zasługuje fakt, że czyny społeczne na cele kultury, które dotychczas były wspomagane przez państwo w wysokości 50 procent, obecnie o trzymają wsparcie w wysokości 70 procent. Poza tym nadzwyczaj ważne jest kumulowanie środków finansowych i organizacyjnych.

— Mówiliśmy o generalnej orientacji, o bazie, o narzędziach organizacji. Co można by powiedzieć o treściach mających popłynąć tak pomysłowym kanałem?

steiny obowiązani dostarczyć im na miejsce?

— To łączy się z pewną sprawą, która mi przechodziła na myśl. Mówiło się niedawno o odurzeniu hasła „Wielki bliżej teatru” na hasło „Teatr bliżej wsi”. Czy w naszych lubelskich warunkach jest to możliwe?

— Pewnymi formami oświatowymi i rozrywkowymi będziemy musieli mocno uderzyć na wieś, to niewątpliwie. Ale czy wymienione przez pana hasło da się w całości odwrócić o 180 stopni, można mieć zastrzeżenia. Nasz teatr gra w 33 placówkach terenowych, ale tylko 12 z nich daje gwarancję dostatecznego przekazu wartości artystycznej. Co w tym wypadku? Dawać namiasiki? Pewnie, że w jakimś stopniu lukę zapełnia spotkanie z aktorem, teatr jednego aktora, może teatr przy stoliku. Ale ani prelegent, ani aktor, ani stolik to jeszcze nie teatr. Będziemy raczej zainteresowani w tym, by możliwie największa rzesza widzów rekrutujących się ze wsi miała możliwość zetknięcia się ze sztuką dramatyczną w jej nieskażonej i niezmniejszanej postaci.

— Czas chyba spojrzeć na miejsce, jakie w tym systemie należy się stowarzyszeniom twórczym.

— Zawodowe placówki artystyczne mają w planie tzw. „objazdy” i ich kontakt z dalekim odbiorcą wynika z toku pracy. Trochę inaczej jest ze stowarzyszeniami twórczymi, które również — przy niewielkim zresztą nakładzie wysiłków z ich strony — są w stanie oddać tu znaczne przysługi. Będę starał się w niedalekim czasie doprowadzić z nimi do odpowiednich w tym celu porozumień. To samo dotyczy środowiska studenckiego.

— Tak. Dalsze indagowanie wykroczyłoby poza określoną limit tematyczny, który polega na wstępnej orientacji w zakresie celów i metod. Mam nadzieję, że sama treść poczynań da nam w przyszłości okazję do bardziej analitycznej spojrzeć na obszar wspólnego nam zagadnienia. Dziękuję i życzę powodzenia.

— Dziękuję również i ja. Dodam jeszcze, że powódź to, jeśli zgodnie z życzeniem ma nastąpić, chciałbym uzyskać we współpracy ze wszystkimi zainteresowanymi ludźmi miastami i województwa. W gromadzie zawsze różnie.

Rozmawiał Zygmun Mikulski

W gromadzie różnie

rycznym. Oczywiście, nie jest to zadanie na najbliższe kwartaly, tym bardziej, że łączy się z potrzebą pewnego przemodelowania materialnej bazy służącej upowszechnianiu kultury na wsi. Ja osobiście optowałbym za placówką w możliwie kompleksowy sposób ujmującą zaspokojenie potrzeb danego środowiska. Gminny Ośrodek Kultury to w moim przekonaniu i biblioteka, i czytelnia, i klub, i sala kinowa, i miejsce spotkań towarzyskich, a nawet sala gimnastyczna.

— Rozpiętość wizji w naszym rezerwie zbyt często znajduje się w dysproporcji z rozmiarami wierzchnią na pieniądze. Czy nie oddalił się pan zanadto od swojej postawy praktycznej?

— Wolno pomarzyć i mnie. Ale nie sądzę, że tylko w tej nurcie możemy mówić o powodzeniu w naszej pracy. Przede wszystkim wiele obiecujemy sobie po ostatnich wystąpieniach władz. Całkiem wyraźnie mówi się, że pracownik kultury 80 procent swojej energii i swego czasu użytkowuje na zabiegi o środki materialne, podczas gdy powinny być one zagwarantowane przez władze administracyjne, przez rady narodowe w normalnym toku ich pracy. Oznacza to, że poprawia się meteorologia dla działalności upowszechnieniowej. Na wokandy

— Nie będę ukrywał, że jest to pytanie najtrudniejsze. Tu pracownik musi być nie tylko aranżerem, czy dysponentem, ale przede wszystkim psychologiem. Na ten temat toczy się fala dyskusji zarówno przez lamy, jak i przez sale zebrań. Nie ulega wątpliwości, że domaga się pewnych modyfikacji menu dostarczane naszym odbiorcom. Modyfikacja ta musi być poprzedzona wnikliwą analizą gustów i zainteresowań, ale już dziś możemy ustalić pewną zasadę naczelną: choćby w postaci najogólniejszej: dając oświatę nie znużyć, dając rozrywkę nie upić. A powiedzmy też sobie na ucho, że nie mamy obecnie w Polsce wyraźnej odpowiedzi na pytanie o treść, o charakter, o rodzaj, o wartość wreszcie artystyczną rozrywki. Nie mówię już o wychowawczej.

Przekładam to sobie na język praktyki. Społeczeństwo ma nie tylko telewizory, ale również motocykle. Ja nie wiem, czy klub wiejski z ustalonym nawet optymalnie, czy jak mówimy „docelowo” programem wystarczy wiejskiej młodzieży. Czy chłopak po dniu pracy nie będzie chciał pojechać z dziewczyną do „prawdziwej” kawiarni, do „prawdziwego” domu kultury. I czy właśnie tych rozrywek nie je-

Jak sterować kulturą?

Ireneusz J. Kamiński

W PAŹDZIERNIKU do Zamościa zjechali kierownicy powiatowych wydziałów i referatów kultury, przewodniczący Powiatowych Komitetów Kultury i Sztuki oraz inne osoby związane z działalnością na niwie. Zjechali na konferencję regionalną na temat „sterowanie procesami kultury w powiecie przez organa administracji kulturalnej”, zorganizowaną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie — sprawnie, bez zarzutu.

— Nie wiem, po co nas tu zaproszono — powiedziała w dyskusji pani reprezentująca województwo warszawskie. — Nic konkretnego tu się nie dowiedziałam, mówimy o starych sprawach, leczymy na informację o metodach działania administracji, które będziemy wprowadzać w życie.

— Założenia konferencji zostały jasno przedstawione w przesłanych materiałach. Chcemy przedyskutować pewne sprawy i usłyszeć wasze propozycje i wnioski — odparła energicznie przedstawicielka Ministerstwa Kultury i Sztuki.

W konferencji uczestniczyło ponad 100 osób z województw białostockiego, lubelskiego, rzeszowskiego i warszawskiego. Temperatura dyskusji była przyzwoita. Formy zarządzania kulturą widziano różnie.

— Osiem lat pracuję w administracji kulturalnej na kierowniczym stanowisku i głosuję za wydziałami kultury.

— Powiatowe Komitety Kultury i Sztuki nie wniosły nic nowego w zakresie finansowania i programowania działalności kulturalnej, ich funkcje mógłby z powodzeniem pełnić referat przy wydziale oświaty — zauważył jeden z przewodniczących Komitetu, który tracąc kontakt formalny z oświatą, stracił na uposażeniu 1000 złotych. Większość dyskusyjantów była za wydziałami kultury, dyrektor departamentu KOiB Ministerstwa był za komitetami, młody pracownik naukowy UMCS, zgadzał się z dyrektorem, wskazując zarazem na brak koncepcji politycznej w kulturze, która ległaby

podstaw rozwiązań i ustaleń prawnych. „Tu, na tej sali, widać skłonności do centralizacji zarządzania kulturą, a to godzi w istoty kultury, niszczy jej bogactwo. Komitety dają szansę wyjścia z impasu wydziałów”.

— Odnoszę wrażenie, że całą pracę zaczynamy od początku. W ciągu 30 lat nie było programu, myśli przewodniej, uzasadnienia? Chyba nie było tak... Komitety mają urealnić koordynację działalności kulturalnej, ale czy to możliwe wobec wielości ośrodków kierowniczych kultury? Związków zawodowych — sobie, spółdzielczości — sobie, a my, reprezentujący państwo — niby wszystkim. Ale z kim? Kolegia wydziałów kultury, niby gromadzące pełną reprezentację pionierów, instytucji i przedsiębiorstw kulturalnych, to posiedzenia towarzyskie, nic więcej. Jak mam sterować czy zarządzać, jeśli nie mam wpływu na obsadę kadrową nawet we własnych placówkach? — zakończył retorycznie kierownik miejskiego wydziału kultury, młody, lecz doświadczony.

— A kto siedzi w komisjach kultury rad narodowych? — podjął temat inny kierownik. — Ludzie przypadkowi, bez inicjatywy, osobowości, paśli, którzy robią tylko tyle, aby jakos tam rozłożyć się przed wyborcami z mandatu radnego.

Kilka lat temu zapytałem kierownika wydziału kultury, czy wie, jacy ludzie znajdują się w komisji kultury rady narodowej. Odpowiedział przecząco. Komisja taka ma rozległe uprawnienia: może koordynować pracę kulturalną, wzywać na swoje posiedzenia kierowników placówek bez względu na instytucjonalne przypisanie tychże, może ingerować w działalność kulturalną i artystyczną przedsiębiorstw. Gdzie jest taka komisja, korzystająca ze swoich uprawnień?

— My tu o tym, o owym, o prognozowaniu, które mamy dawno za sobą, a tymczasem upadły powiatowe komisje koordynacyjne, bo nikt nie chciał dać pieniędzy do wspólnej kasy. Podobnie wygląda sprawa Powiatowego Funduszu Rozwoju Kultury. Panuje powszechny bałagan, nie wiemy to robić w sytuacji.

— No, nie — przerwał delikatnie przedstawiciel Białostockiego Prezydium Komitetu Kultury i Sztuki z województwa warszawskiego, plastujący te funkcje od dwóch miesięcy i nawiązujący bardzo optymistycznie. — Nasza narada jest zaplanowana, wszystkie zadania od ludzi.

— Stuznie, lecz zdane szukać odpowiedzi? — włączył się jeden z uczestników utrzymania wydziałów kultury. Nie ma ich, najgorzej! zgadzamy się na przypadkowych.

— Ale trzeba zarządzać — kontynuował przewodniczący, wzbudzając pewną wesołość sali.

— Przepraszam, chciałbym dokończyć: nie wiemy, co robisz w sytuacji, kiedy powstaje gmina.

— Gmina to szansa dla kultury wiejskiej.

— Gmina zadat kultury, a kultura gminie.

— Naczelnikowi gminy przypisano 25 powinności kulturalnych, kiedy on sobie z tym wszystkim poradzi?

— Będzie miał do pomocy referenta do spraw kultury, oświaty, zdrowia etc.

— Podobno mają zlikwidować stanowisko referenta do tych spraw, a kultura zajmie się sekretarz gminy.

— I wydziałów kultury nie będzie w powiatach za dwa lata — wtrącała mimochodem i cicho osoba wciślana.

Będzie, nie będzie, podobno, czy

na pewno — takie zwroty pojawiały się dość często w wypowiedziach uczestników dyskusji, sygnalizując pewne zakłopotanie wobec omawianych problemów, szczególnie zaś tych, które wiązały się z nową strukturą administracyjną wsi. I dlatego właśnie, chcąc oddać klimat dyskusji, przepłatając wypowiedzi na serio z dowcipnym komentarzem lub ironicznie zawieszonym pytaniem retorycznym, dyskusji ostatecznie rzetelnej i owocnej — posłużyłem się w pierwszej części atrykule formą co nieco żartobliwą.

Powracając do tematu: nie przyćmiam sobie, aby zwrócono uwagę

na personalno-intelektualne strony gminy, co jest w końcu może i zrozumiałe — obradowali praktycy, znający dobrze życiowe implikacje paragrafów i ustaleń natury np. finansowej. Tymczasem wymagania, aby naczelnik gminy i jego zastępcy posiadali wykształcenie wyższe, lub co najmniej średnie z odpowiednią praktyką, doprowadzą z czasem do licznego wzmocnienia dyplomowanej inteligencji na wsi. Sądzę, że ci ludzie poza znajomością prawa i ekonomii przyniosą w teren nowy stosunek do kultury, pojmowanej nie tylko jako ten kwiat do koszar, lecz istotne narzędzie kształtowania ludzkiej osobowości. Świadomość tych ludzi może okazać się poważnym kapitałem kultury, który właśnie w procesie sterowania tą dziedziną ludzkiej aktywności powinno się umiejętnie wykorzystywać.

Naczelnik może być partnerem dla powiatowej administracji kulturalnej pod jednym jednak warunkiem: że, powiedzmy, kierownik wydziału kultury będzie miał faktyczne możliwości egzekucji swoich uprawnień i równie wysoki poziom osobistego wykształcenia. Jak dotąd owe możliwości są nikłe, nikt np. nie pyta się wydziału o porwołenie na otwarcie czy zamknięcie placówki kulturalnej. Poziom wykształcenia, traktując rzecz ogólnie, także pozostawia sporo do życzenia. I nawet nie chodzi tu tak bardzo o wykształcenie formalne, lecz o faktyczne rozeznanie w problematyce kultury. Konferencja zamojska ujawniła bardzo zróżnicowaną orientację kierowników administracji w sferze organizacyjno-prawnej, nie mówiąc o takich sprawach, jak znajomość procesów kulturalnych zachodzących na wsi polskiej. Znalazło to przewrotny wyraz we wniosku pod adresem Ministerstwa o umożliwienie szerszego dostępu do fachowej literatury socjologicznej — jakby nie była ona dostępna w każdej księgarni, czy kiosku „Ruchu”, choćby pod postacią kwartalnika „Kultura i Społeczeństwo”. Niektórzy kierownicy — nie jest to wyłącznie ich wina, lecz wiąże się z określonym systemem preferencji — to po prostu tużinkowi urzędnicy od załatwiania okazjonalnych akademii i innych „kalendary”. Zapytałem kilku z nich, co robią poza podpisywaniem papierków i czuaniem nad organizacją imprez.



Fot. A. Alkany

Musimy swoją Opuszczać
pachnącą rękawicą i ciałem
wzrost nabrał
Własnym strasem
jak góry drugą stroną
JAN POCEK

Nr 3 (19)

3 XII 1972

Rok VI

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy – Ośrodek Lubelski przy ZW ZMW



Rys. D. Opolski

Anna Buczek-Wolska

Imię
które pamiętasz
nie jest już moim
imieniem

Słów
które mówiłam
nie umiem
powtórzyć

Jest we mnie
spokój
dojrzewających
pszenic
ciszą brzemiennych

Pordzewiałą agrafką
wiejskiego popołudnia
wpięłam się
w spoiętą ziemię

Imię
które pamiętasz
nie jest już moim
imieniem

przed siewem

ziemia
krzyczy
gdy lamiesz
skibą kraje
zieloną

tonące w brzdach
rośliny
wyciągają białe
nagie korzenie
a rola
w sukmanie zgrzebnej
czeka na siewcę

Jerzy Jedziniak

Odlegli
a tak bliscy
w poszukiwaniu
sprawiedliwości
i pokoju
szukamy ciszy
rodzącej nadzieję
Karmieni pragnieniami
żyjemy
wciąż odprowadzając
polegnania

Edmundowi

Notujemy

13 października br. odbyło się w Domu Kultury w Krakowie wyjazdowe posiedzenie Krajowej Rady KKMP. Celem posiedzenia było omówienie bieżących spraw organizacyjnych Klubu oraz zamierzeń wydawniczych. Zabrał głos przewodniczący Klubu, Andrzej Gertowski, a zwolnienie go z dotychczasowej funkcji przewodniczącego Krajowej Rady KKMP, jak również wiceprzewodniczących: Tadeusza Chudego, Zygmunta Wójcika i Stefana Malinowskiego. Nowym przewodniczącym Krajowej Rady KKMP wybrano kol. Jana Zdzisława Brudnickiego, z-tę red. naczelno-go „Nowego Wyraza”, a wiceprzewodniczącymi kol. Krzysztofa Zacharę i Rocha Sulimę z Warszawy oraz Jerzego Grapińskiego z Poznania. W posiedzeniu obok zaproszonych gości uczestniczyli przedstawiciele Wydziału Kultury KC PZPR.

W dn. 14-15 października br. odbyło się w Krakowie – Nowej Hucie Ogólnopolskie Seminarium KKMP nt. „Industrializacja a kultura”, połączone z wystawą dorobku wydawniczego KKMP wydawnictw LSW oraz grafiki i obrazów plastycznych współpracujących z KKMP. Wśród wygłoszonych w trakcie Seminarium referatów, niewątpliwie interesujący był referat dra Jacka Kajtocha pt. „Literatura młodych na progu rewolucji naukowo-technicznej”, chociaż z pewnością nie wyczerpał on w pełni wielu aspektów omawianego tematu.

Zgodnie z zapowiedzią we wrześniu br. miał się ukazać numer „Zapola” oddany całkowicie w ręce, a raczej pióra i długopisy Czytelników, poświęcony całkowicie ich ocenom „Zapola” w minionym 5-leciu. Altiści zainteresowani uznali widocznie okoliczność za zbyt blizką, rezygnując z szansy i nie notując swych ocen. W konsekwencji numer wrześniowy „Zapola” nie ukazał się.

Kol. Józef Małek w „Naszym Klubie” opublikował wkladek repertuarowa, stanowiąca wspaniałą tekstów Kabaretu „Rzep” z Krzeszowa pt. „Omioty”. Na swą kolej czeka w WL jego tomik „Konieczna”. Z okazji 15-lecia „Hulniska Lubelskiego” otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi. Gratulujemy serdecznie.

Po przeprowadzonych ostatnio rozmowach lubelskiego Koła Młodych z WL, złożono tamte tomiki drukowanych w prasie wierszy paru autorów lubelskich na tzw. „lubelską szkatule”. Ze strony WL jest obietnica ich wydania. Zobaczymy kiedy.

„Regiony”, do niedawna powielaczowy biuletyn KKMP przy ZW ZMW, przybrał format broszury o ładnej oprawie graficznej, stając się cennym kwartalnikiem społeczno-kulturalnym w środowiskach młodolitek krajoznawców. Obok bogato prezentowanej poezji, znajdujemy tu nowa prozę, debiuty, recenzje i noty, omówienia nowych pozycji, a także kronikę działalności Klubu oraz informacje i komunikaty o konkursach literackich.

Z okazji X Zjazdu ZNP wśród odznaczonych za działalność kulturalną w środowisku odznaka Zasłużonego Działacza Kultury, znalazł się Zbigniew Strzałkowski. Dekoracji dokonał na plenarnym posiedzeniu ZO ZNP w Lublinie nowomianowany kierownik Wydziału Kultury PWRN Jerzy Cywoniuk.

W III Konkursie Poetyckim biuletynskiego ośrodka KKMP nasz kolega Ryszard Kornacki otrzymał III nagrodę. Nagrodzone w Konkursie wiersze przeczytał b. gdzie można w „Kontrastach”, gdzie mają być publikowane.

Gdy ma się wyrazić sywetkę, łatwo na nią znaleźć autorów. Dominik Opolski (podobnie jak inni koledy) sprzedał swą już „Kamenie” i „Magazynu Satandaru Ludu”. Obecnie ponoć zakupy ją „Litera”. Kto następnym?

Aleksander Rozenfeldowi dopisuje szczęście. Otrzymał stypendium literackie Ministra Kultury i Sztuki. Ma DOKP w Lublinie sżykuje ma podobne specjalne stypendium oraz dożywotnie prestatywny bazy i, w związku z felietonem „Pisane na dworcu”.

Koło Młodych w Lublinie próbuje dopodobnie przedstawić im. J. Kierownictwu Teatru im. J. Osterwy spis „nie wykurzyła” nych” Jeszcze hitów, w celu smontowania nowych, oryginalnych i samodzielnich spektakli. Być może zrealizowane one będą w nowym budynku Teatru, o który zabiega reżyser Kazimierz Braun.

Myśli i myślątka

Doszli do porozumienia. Bo nie mieli odwagi iść dalej. Zasada Iksa: nie liczy się z tymi na których nie liczy. Pozwolono mu na wszystko. Teraz mówi się, że go skrzywdzono. Jednym prawdą otwiera oczy, innym – zamyka usta. Jeśli ktoś przeszedł na twoją stronę, nie uważaj go już za przyjaciela. Może po prostu nie miał wyjścia. Czasem trzeba popełnić grzech, by udowodnić, że się innych grzechów nie ma. Niektórym tylko dlatego pozwolono podnieść głowę, by nie widzieli, co dzieje się w dole. Trudno być sobą temu, kto nie wie, kim jest. Ciasnota umysłowa nie upoważnia do ubiegania się o większy lokal.

Marian Karczmarczyk

Ryszard Kornacki strofy leśne

drwał
niestrudzony
uderzam
w cztery ściany lasu
pod ciężką idą gwiazdy

drzewa nie płaczą
jak ludzie
nie zaciskają z bólu zębów
żywica
czułość wnętrza
powoli
spływa
w misę wieczoru
zieleń znikształca
ostrze topora

wykarczowany ze słów
nieodspiewany wolańiem ptaków
stoje w środku świata
i ręce mam we krwi



Rys. D. Opolski

Stanisława Buszta Nieukochanym

Wam które w południa dni
czy ciemnych nocy słyszcicie
– poznajecie uparczywe kołatanie
do bram otwartych myśli
posłańców z wyspy Lesbos
od cierpiącej Safony
i miłości

– głuchej ślepej nędzarki
czekającej jałmużny jak zaklęcia
co w królową piękną zmienia
– cóż dać mogą oprócz wiersza
pocałunku warg ciepłych prawdziwego
choć nie tego z bajki.

10 spostrzeżeń i koniec

BYŁO coś nietypowego w tym wieczorze ufundowanym podczas seminarium KKMP przez grupę Tylicz w Krakowie w sobotę 14 października br. Nietypowy humor i szarganie świętości dostojnych spotkań autorskich, przekazywane w tak sympatyczny sposób, że nie bolało. Oto wyliczanka nietypowości:

1. Autorzy sami sprzedawali pachnący drukiem arkusz poetycki nie stojąc na koturnach i nie składając dedykacji pompatycznych.
2. Autorów było pięciu czyli każdy za zbiorok uzyskiwał złotówkę, za wiersz 20 groszy – które to pieniądze wiedzieli jak stracić.
3. Kupujących nikt nie zachęcał reklamą Agnieszki Osieckiej „to jest to”, chociaż Krakowski Sewerek Wiślicki zachęcał raczej do coca – pardon, w Krakowie pepsi-coli.
4. Autorzy sprowadzili z Miechowa zespół mocnego uderzenia, który się bawił z publicznością śpiewającymi tekstami grupy Tylicz, podkreślając, że jest on jedynym w Polsce zespołem KKMP, co oznaczać może, że wiersze Tylicza śpiewająco kwalifikowane są do POEZJI, albo, że... wespółczu należy zespołowi wystąpić.
5. Autorzy przedstawiali się jedynym wierszem (tym razem za darmo!) wydudnionym przez mikrofon, stojąc w kolejce i przepychając się niezłym w redakcjach. Ukazali swą sytuację kabaret z paradoksalnej sytuacji młodej literatury.
6. Brylował wśród piątki Andrzej Krzysztof Torbus, autor wiersza z aktualnej okładki 35 n-ru „Zarzewia” i duchowy przywódca krakowian, ale było to brylowanie subtelne, schowane za aurytet Jacka Kajtocha, który wydanie Tylicza firmował. Pan doktor mógł się już tylko schować za sympatyczną Anę K.
7. Klimat wieczoru sprzyjał improwizacji, z czego skwapliwie skorzystał Janusz Styczeń Wrocławski recytując i wykrzykując poprzez okulary z pamięci.
8. Marian Kasprzyk straszyl, że powie swój wiersz o morzu, ale nie powiedział i wszyscy byli zadowoleni.
9. Podczas wieczoru jeden Tyliczanin opowiadał wierszem, że ma orientację gdzieś(?) i poematy o niej składa.
10. Tadeusz Kubas siedział smutny, bawiąc swoją miłą nieobecnych rzeszowian.



Rys. D. Opolski

Felieton ze znakiem zapytania Intelektualne przygody Pana Michała

POSTAWIENIE rozsądnych pytań nie jest sztuką łatwą. Michał Sprusiński w „Literaturze” nr 35 zapytuje: „Młody pisarz – kto to jest?”, a pytanie to uzupełnia zestawem pomocniczym. Metoda – jak zwykle u cenionego Pana Michała – jest błyskotliwa i poprawna. Nawet gdy określa adresatów pytań (wydawców, redaktorów, ludzi radia i TV) z racji marzeń tych panów. Nawet gdy pytać każe o wiarę tych osób.

Wiara w ogóle, a tym bardziej wiara w potencjalne możliwości młodych pisarzy, jest sprawą intymną, osobistą. Można ją deklarować przy dobrej koniunkturze, można się jej zaprzeć, jeśli wymagać tego będzie sytuacja. Ten schemat myślowy zbyt powszechnie się przyjął, by pytanie, nawet w postulatycznej postaci, miało sens.

Nieważne zatem, czy wydawcy wierzają w młodego pisarza. Z równym powodzeniem można zapytać, czy wierzą w ducha.

Podobnie rzecz się ma z marzeniami w/w panów o nowych (cudzych!) powieściach, nowelach, sztukach teatralnych i scenariuszach. Gdy zdarzy się, że nieostrożnie zwierzą się w wywiadzie te-

lewizyjnym ze swoich marzeń, to z ust cenionego powszechnie literata i redaktora usłyszeć możemy coś w rodzaju: „Jedynym moim marzeniem jest oddać się od szumu wielkiego miasta, kupić jakiś domek poza Warszawą, no i oczywiście samochód, by kontakt z miastem jednak utrzymać” (cytuje z pamięci). Autentyczne! Człowiek ten ma już samochód, ma domek, bo szlagierowość jego utworów sprzyjała, ale... stał się nieszczęśliwym człowiekiem w Polsce; pozostał bez marzeń!

I nawet jeśli jest jedynym nieszczęśliwym, to czy inni nie mają podobnego jedynego marzenia? Marzenia i wiara tkwią w felietonie red. Sprusińskiego na równych prawach z pytaniami i nie deprecjonuje ich pointa z deuzją Jana Stanisławskiego „dzis humor – jutro odpowiedź”. W ostatnim zdaniu red. Sprusiński czegoś sobie ani państwa nie życzy. Czego i dlaczego?

Między marzeniami jest miejsce na błyskotliwy cynizm zaczynający się od słów dlaczego, co sprawiło, że jakiej przyczyny. Własna apologia pokolenia „nieobecnych trzydziestolatków” na luksusowym papierze miesięcznika młodych zaatakowana została

zrećnię. Za zrećnię! bo z pominięciem pytania, dlaczego start w domenie literatury stał się bardziej dystyngowany i dlaczego tak powszechnie są debiutanci po trzydziestce? Dlaczego 18–20-letni młody musi się hartować w bojach o publikację przez oziem, dziesięć lat, zanim wyda tomik okaleczony i na modłę gustów recenzentów i laskawych protektorów? Młodzi przedwojenni drukowali za własne pieniądze, ale też na własną odpowiedzialność, więc dlaczego odpowiedzialność młodego pisarza współcześnie zaczyna się po trzydziestce?

Aleksander Rozenfeld, legenda wielu Kół Młodych, przed kilku tygodniami upominał się o (młodzieżowego?) Piotra Graumana, który opublikował w prasie aż trzy wiersze. Zdaniem protektora Piotr zastępuje na wydanie tomiku w projektowanej lubelskiej szkatule. Kalkunastu młodych trzydziestolatków zaprotestowało... dlaczego? Czy zasada „ma jeszcze czas” nie jest analogiczna z innymi, a społecznie istotniejszymi aspektami „spóźnionego startu” i niedorobkości pokolenia trzydziestolatków? I czy może się zmienić sytuacja poprzez dziwny felieton z pytańkami?

Młody pisarz

Zapole nr 3/19
redagowali:
Jerzy Jedziniak
Jerzy Chłodnicki
Adam Fiala



Fot. Hielfried Strauss

Co to jest SZKOŁA?

Eugeniusz Żeleźny

PYTANIE postawione w tytule tytło z pozoru wydaje się bzdurne. Próba adekwatnego zdefiniowania instytucji nazwanej „szkołą” nastrożca sporo kłopotu. Ten wieloznaczny wyraz odmiennie jest w języku polskim na wszystkie możliwe przypadki. Wystarczy wspomnieć, iż mamy w naszym kraju „polską szkołę matematyczną”, „szkołę tańca”, „szkołę życia”. Ale obok tego mamy także szkołę eksperymentalną, szkołę wiodącą, szkołę przedłużonego dnia nauki, szkołę środowiskową, szkołę opiekuńczą. Już choćby z tego pobieżnego wyliczenia można się zorientować, jak niełatwo jest jednolicie i jednoznacznie zdefiniować tę instytucję. Nic też dziwnego, że sprawa, jako się rzekło, jest trudna. Za to nie brak jest ludzi skłonnych obwiniać szkołę za całokształt pracy dydaktyczno-wychowawczej wśród młodzieży i to nie tylko tej młodzieży, która każdego dnia zasiada w ławce szkolnej. Obwinia się więc szkołę za gwałcenie z Nowego Dworu, za mordców taksówkarza z Konstancynowa, za urodzonych w niedzielę, za złodziei i chuliganów, za oprychów i chamów.

Niewątpliwie część winy za postawy społeczno-moralne młodzieży musi wziąć na siebie szkoła, choć uparcie się przed tym broni. I ma rację. Jeśli dotychczasowa szkoła polska w sposób należyty wywiązywała się ze swej funkcji zasadniczej — nauczania, to druga jej podstawowa funkcja, ściśle z nauczaniem związana — wychowanie — leżała odłogiem, choć tu i ówdzie czyniono sporo wysiłku, by i w tym zakresie coś godnego uwagi czynić. Nie wychodziło jej to z wielu względów. Tuż po wojnie i w latach następnym podstawowym zadaniem szkoły było szybkie kształcenie kadr dla potrzeb też szybko rozwijającej się gospodarki narodowej. Później przesunął się przez szkołę wielki wyży demogra-

ficzny, szkoły pękały wprost w szwach, wreszcie nadeszła długo dyskutowana reforma szkolna. Wcielanie w życie postanowień reformy przy niezmiernie dużej bazie ekonomicznej szkoły, a także przy ogromnym braku kwalifikowanych kadr nauczycielskich, zmusiło szkołę i jej kierownictwo do zajęcia się w pierwszej kolejności sprawami organizacyjnymi, pośpiesznym szukaniem izb lekcyjnych, mieszkań dla nauczycieli, rozwiązywaniem niemal na gorąco problemu dokształcania nauczycieli. Jeśli i w takiej sytuacji szkoły jakoś sobie radziły, to należy im to zapisać na duży plus.

Taka sytuacja nie mogła jednak trwać w nieskończoność. Zaczęto szukać wyjścia. I wtedy zaczęto eksperymentować. Ale to zupełnie osobna historia.

Redaktor MAJ w 21 numerze „Kamena” zachęca pedagogów, by wypowiedzieli się na temat podniesionych przez niego kwestii wychowawczych, zawarych w felietonie „Dwójka dla kogo?” MAJ pisze: „...należałoby postawić dwoję ze sprawowania matce, która kupuje córce buty za dwa tysiące złotych, ojcu, który funduje synowi samochód, który usprawiedliwia jego pijaństwo, rodzicom, którzy dają dzieciom pieniądze na kawiarne przyjęcia”.

Nim, jako zawodowy nauczyciel i zarazem wychowawca, niejako z urzędu uprawniony do stawiania dwoj, postawię ją komu należy, pozwoli pan, panie redaktorze, iż do podanych przez pana przykładów doruczę jeszcze kilka. Wychy-talem je w 42 numerze „Kulis” z dnia 15.10.72, pomieszczonej tam zapewne na okrasie obchodzonego właśnie Dnia Nauczyciela. Oto one: „Z budynku przy ul. Leszczyńskiego w Lublinie

przez okna wychylił się chłopiec lat ok. 10 i zarzucał na podwórzu bambusową wędkę, zaczął łowić... koty...”. „Przed kolegium w Bydgoszczy stanął Jerzy Giża za to, że... udał się do szkoły przy ul. Kościelickich, gdzie kolejno wchodził do klas i szepotał nauczycieli...”. „Mieszkał przy ul. Moczyńskiego w Bydgoszczy mieli możliwość oglądać oryginalną zabawę. Kilku wyrostków kopiąc podawało sobie ludzką czaszkę, która toczyła się po ulicy z głośnym stukotem... Po jakimś czasie porzucili czaszkę na chodniku. I tak została...”. „We wsi Droszków w Zielonogórskim Weronika R. zlapała w swoim sadzie młodego człowieka, który zrywał z drzew gruszek. Obok na szosie stał samochód... kiedy krzyknęła na chłopaka, ten uciekł do samochodu, ale ojciec kazał mu wrócić do sadu... a gdy po raz drugi kobieta zwróciła mu uwagę, powiedział: „Niech pani uważa, bo może pani pożałować” (...). „Na skwerku tuż obok ratusza w Mrągowie postawiono tabliczkę: Tatusiu wracaj z pracy trzeźwy!!!...”

Jak więc pan widzi, na brak „budujących” przykładów wychowawczych narzekać nie możemy. Życie każdego dnia niesie ich tysiące. I, jak sądzę, będzie ich niosło coraz więcej. Patologia społeczna zatacza szerokie kręgi. Pedagogika to już dawno dostrzegła, widzą to także pedagodzy, tylko do niedawna nie widzieli tego działacza oświatowy wyższych szczebli. Pedagogika, szczególnie zaś pedagogika społeczna, postulowała zajęcie się podstawowym źródłem patologii społecznej — środowiskiem, w którym dziecko wzrasta, a szczególnie rodziną. Ryszard Wroczyński w wydanej przed sześciu laty książce: „Wprowadzenie do pedagogiki społecznej” pisał m. in. „Szczególne zadania wychowawcze spadają na rodzinę we współczesnym świecie przeciwieństw i niepokoju. W wyniku skomplikowanej sytuacji współczesnego świata proces wchodzenia młodej generacji w życie społeczne bywa często zaburzony, trudności wychowawcze sygnalizowane są dość powszechnie. Kryzys kultury współczesnej, konflikty i sprzeczności utrudniają młodej generacji proces adaptacji społecznej”. I nieco dalej: „...w obecnym etapie rozwoju kultury i społeczeństwa ani szkoła, ani rodzina nie mogą wypełnić swych funkcji bez ścisłego współdziałania, to znaczy jeśli nie ma systematycznej i zorganizowanej współpracy szkoły i domu”.

Otóż to. Szkoła się reformowała, dokształcano masowo nauczycieli, pokonywano trudności związane z wyżym, eksperymentowano, szukano nowoczesnych form i metod nauczania. Zapomniano jeno o drugim wielkim partnerze szkoły — rodzinie. Ta kształtowała oblicze swego dziecka według ustalonych przez babcię norm wychowawczych. Szkoła ograniczyła swój kontakt z rodziną do „wywiadówek”, do karcenia rodziców za słabość ich dzieci. Nie potrafiła jednak nie konkretnego o dziecku powiedzieć, nie doradzić, bo młody przeważnie i niedoświadczony nauczyciel sam o dziecku niewiele wiedział. Grzmiał więc i narzekał, nie robił za to przeważnie nic, by poznać przyczyny zła.

W tym niezrozumieniu ról zrodził się głęboki konflikt między rodziną a szkołą. Wymagania wobec szkoły rosły, rosły wymagania wobec dziecka, nie rosły natomiast wymagania wobec rodziny, szczególnie jeśli chodzi o poziom wiedzy i kultury pedagogicznej. Nie rosły, bo nie mogły rosnąć z przyczyn zupełnie obiektywnych. Związek małżeński ma prawo zawrzeć każdy normalny człowiek bez względu na wykształcenie, w tym także na wykształcenie pedagogiczne (w zakresie umiejętności wychowania dziecka). Pedagogowie od dawna postulują kształcenie rodziców w zakresie podstawowych problemów psychologii dziecka i pedagogiki, higieny, zasad żywienia. Ich głosy trafiają jednak na jałowy grunt. Jeśli w tym względzie tu i ówdzie coś robiono, była to praca chałupnicza i obliczona na doraźny efekt. Tymczasem kształcenie rodziców staje się rzeczą pilną. Wychowanie młodego człowieka na dobrego obywatela socjalistycznej Polski nie jest sprawą prywatną ojca czy matki, jest obowiązkiem systemu oświatowego, który problem kształcenia rodziny powinien potraktować niezwykle poważnie i zdecydowanie. Daleko idąca swoboda w wychowaniu, a na nią rodzina pozwala, przynieść może bardzo szkodliwe skutki, o których coraz częściej słyszymy już dziś.

Z postawieniem dwojki komukolwiek jeszcze się wstrzymam. Poczekam na dalsze decyzje władz oświatowych, które z wielkim rozmachem zabrały się do kolejnej reformy.

„Mówisz bzdury tatusiu...”

Dokończenie ze str. 1

pytało: „dlaczego?” i rodzice uważają, że mają obowiązek odpowiadać na takie pytania.

Przez cały XIX wiek ojciec był strażnikiem tradycji rodzinnej. Teraz jesteśmy świadkami zanikania dawnych tradycji rodzinnych i dzieci często stają się trzonem rodziny, racją jej istnienia. Zniknęły piastunki i bony, dzieci przysłuchują się rozmowom rodziców i wcześniej zaczynają się orientować w takich problemach, jak np. ich trudności finansowe, jak ewent. sprawy rozwodowe, czy też sukcesy ojca bądź matki.

Niezwykle ważnym czynnikiem wpływającym w dzisiejszym społeczeństwie na wcześniejszy rozwój dzieci są środki masowego przekazu — przede wszystkim telewizja i radio, a także film i prasa.

Wśród 7- i 8-letnich uczniów jednej ze szkół przeprowadzono ankietę, by stwierdzić, czy słyszeli coś kiedyś o Pakistanie. Pokazano im w tym celu kilka zdjęć młodych, bawiących się w piłkę Pakistańczyków. Przeciwnie troje dzieci na pięciocioro wiedziało doskonale — dzięki telewizji — że kilka miesięcy przed ankietą Pakistan nawiedziła katastrofalna powódź, że było dużo ofiar w ludziach i że straty materialne były olbrzymie.

Inna ankietka, przeprowadzona przed pięcioma laty wśród młodocianych, wykazała, że co drugie dziecko w wieku 12 lat regularnie czyta jakiś dziennik. Taka sama ankietka przeprowadzona ostatnio wykazała, że również co drugie dziecko czyta dziennik, ale już od dziesiątego roku życia!

Wobec zalewu informacji, z jakimi styka się dziecko dzięki środkom masowego przekazu, rozwija się jego dociekliwość i zmysł obserwacyjny, ale staje ono też wobec wielu problemów, których nie potrafi samo rozstrzygnąć oraz pytań, na które nie umie sobie samo odpowiedzieć. W tej dziedzinie rodzice mają bardzo dużą rolę do odegrania. Przede wszystkim muszą nauczyć się odpowiadać na pytania, na wszystkie, nawet na te najbardziej zaskakujące i kłopotliwe. Odpowiedzi — zwłaszcza na tematy związane z dojrzewaniem — w rodzaju: „Zrozumiesz to później, gdy dorosnie”, mijają się zupełnie z celem.

Dzieci dojrzewają dziś przedwcześnie — to fakt, ale wcale to nie oznacza, że potrafią wcześniej niż dawne dzieci — te sprzed wieku czy półwiecza — analizować i uogólniać zdobyte wiadomości. Jest to jeden z problemów naszej cywilizacji: dziecko wcześniej poznaje świat, ale później w ten świat wkracza. Niedawno jeszcze między osiągnięciem wieku dojrzałości, a uświadomieniem sobie przez „jednostkę własnej odpowiedzialności”, upływało od dwóch do trzech lat. Dziś można liczyć, że upływa osiem do dziesięciu lat w życiu dziecka w szklanym okresie, noszącym nazwę „okresu dojrzewania”.

Młodzi starają się dziś jak najbardziej odroczyć moment, w którym będą musieli ponieść za coś odpowiedzialność, mieć jakieś obowiązki. Czy nie jest to związane z tym, że dzięki środkom masowego przekazu dowiadują się zbyt wcześnie o wszystkich wadach i niedorzecznościach tego świata i że cierpią wskutek zbiorowego poczucia winy za ten tak źle urządzony świat ludzi dorosłych?

Artykuł chcielibyśmy zakończyć apelem do naszych czytelników wychowujących dzieci. Co sądzicie na temat poruszonych problemów? Z jakimi trudnościami spotykacie się na co dzień w obcowaniu ze swoim potomstwem? Kto i jak mógłby wam pomóc?

Sądzimy, że temat jest jak najbardziej na czasie i chętnie go na naszych łamach podejmiemy. Czekamy na listy: „Kamena”, Lublin, Skrytka pocztowa 131.

Ireneusz J. Kamiński

Kamena str. 5

Jak sterować kulturą?

Dokończenie ze str. 3

— Jak trzeba, rozładujemy wagony kolejowe z materiałem budowlanym przeznaczonym kulturze, jeśli pech chciał, że transport nadszedł w niedzielę i nie można znaleźć robotników.

— Piszę, od lat, okolicznościowe referaty swoim zwierzchnikom. Nic w treści nie zmieniać, tylko daty.

— Trenuję do podstępnych bojów o dotacje na kulturę.

— Zajmuję się planowaniem inwestycji i działalności kulturalnej. W taki sposób, aby były „dalekosiężne i konstruktywne”. Oczywiście, z góry wiem, że 50 proc. nie dożyje się realizacji.

Kierownicy kultury w powiecie czują się osamotnieni. Jest to prawda, choć brzmi infantylnie. Doprowadziło to do dość paradoksalnego w okresie postępującej decentralizacji wołania o... większy nadzór i kontrolę nad działalnością powiatową przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Starsi pracownicy, związani z kulturą od lat bezpośrednio powojennych, z rozrównaniem wspominali czasy, kiedy to gościli przedstawicieli resortu przynajmniej raz — dwa razy w roku, a konferencje typu zamajskiego odbywały się corocznie.

Pracownicy administracji kulturalnej wydają się być mocno zagubieni i bezradni wobec: rwania się rytmu przemian struktury organizacyjnej zarządzania, niekonsek-

wencji sprzecznych często przeprosów, lekceważenia przez strony porozumień podpisanych przez związki i instytucje, a dotyczących współdziałania w kulturze, personalistycznego charakteru polityki kulturalnej („nowy zaczynać po nowemu”), wyraźnie drugorzędnej pozycji kultury w hierarchii powiatowych spraw do załatwienia (czy tylko powiatowych?)...

Konferencja zamajaska zgromadziła dużo ludzi z województw raczej nie produkujących pod względem rozwoju społeczno-ekonomicznego, co przydało jej specyficznego kolorytu. Jej uczestnicy z determinacją rzucali się w wir dyskusji, mówiąc wiele i o wszystkim, czyli nie mówiąc o niczym nowym. Na dnie tego potoku krytycznych uwag, dalekosiężnych wniosków i osobistych refleksji sentymentalnych można też było dostrzec stare rały, hamujące rozwój kultury i stawiające pod znakiem zapytania samą możliwość sterowania jej procesami. Chodzi, rzecz jasna, o szczupłość środków finansowych, jakie ma do dyspozycji resort kultury. W konsekwencji baza działalności kulturalnej jest słaba, budowa nowych obiektów ciągnie się latami, trudno o zwerbowanie do pracy ludzi wartościowych moralnie i kompetentnych, nauczyciele we wsiach coraz dalej odsuwają się od pracy w placówkach kulturalnych...

No cóż, nikt znający się na rzeczy nie odmówi tym spostrzeżeniom trafności, ale nikt też chyba nie jest w stanie zaproponować natychmiastowo skutkującej metody uzdrowienia tej sytuacji, szczególnie we wspomnianych województwach.

Poruszył tę kwestię przewodniczący Prezydium WRN w Lublinie, Ryszard Wójcik, którego wystąpienia nie da się określić innymi słowami, jak realistyczne i rzetelne. Kulturę przywykło się finansować przez dotacje, „ale żaden kierownik wydziału kultury nie będzie w stanie mnie przekonać o celowości dotowania konkretnej inwestycji kulturalnej, jeśli równocześnie wyłoni się konieczność finansowego wsparcia budowy drogi w czynnie społecznym. Dam na drogę, bo na 100 km kwadr. powierzchni przypada na Lubelszczyźnie zaledwie 29 km dróg. Warto przy tym uzmysłwić sobie, że brak odpowiedniej sieci dróg odbije się ujemnie na możliwościach prowadzenia działalności kulturalnej. Na programowanie tej działalności trzeba też patrzeć pod kątem czasu rolnika”.

Uważnego spojrzenia domaga się również konkretny postulat Ryszarda Wójcika, dotyczący finansowania kultury: należałoby skończyć z dotychczasową praktyką dotacji, która pochłania czas i energię działaczy zakłopotanych problemem uzyskania pieniędzy, środki na te cele winny być wydzielone centralnie i oddane do dyspozycji wydziałów kultury. Ponadto Ministerstwo Kultury i Sztuki mogłoby rozliczyć własne dochody i wydatki, bo wydaje się, że niektóre działania

resortowe przynoszą zyski. Jeśli tak, należałoby przeznaczyć je na rozwój kultury w kraju.

Konferencję zakończyło wystąpienie ministra Stanisława Wrońskiego, który stwierdził, że w myśleniu aktywność partii i całego społeczeństwa zanotowało się przekroczenie o ważności kultury. Społeczeństwo nie obdarzy zaufaniem towarzysza, który lekceważy kulturę. Przewodniczących wojewódzkich rad narodowych trzeba rozliczać nie tylko z zebrania kartofli z pół, ale również ze stanu kultury”. Pięciolatka 1976—1980 będzie szczególnie honorowała interesy kultury, w stosunku do obecnej przewidywane jest 3,5-krotny wzrost nakładów na inwestycje. Za sumę 6,2 miliarda złotych planuje się m. in. wzniesienie 900 gminnych centrów kultury i ośrodków w miastach niepowiatowych.

Wydaje się, że konferencja zamajaska zarysowała rzeczywistość kultury w powiecie. To całkowicie wystarczy, aby zapisać ją po stronie zysków. Wszystkie wnioski, przedstawione w Zamościu, zostaną opracowane przez MKiS i będą uwzględnione w planowaniu kultury. Ta obietnica urealnienia nadziei, że to nasze zamajskie gadanie nie uleci z powietrzem. Jak to drzewiej bywało.

Sprawa Leszka K., byłego pracownika Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców, ciągnie się właściwie już od dwu lat. W trakcie jej trwania zdążył likwidować przez połączenie Dział Reklamy WSS, którym Leszek K. kierował; umarł jeden z ważnych świadków; zdjęto ze stanowiska prezesa i dwu wiceprezesów, bo wykryto nadużycia, nie bez udziału prasy codziennej, która rozpisala też szeroko i pozytywnie naświetliła sprawę Leszka K.; powołano nowego prezesa i dwu wiceprezesów; jednego dyrektora skazano na dwa lata... A sprawa Leszka K. ciągnie się nadal; od kwietnia br. — już w sądzie. I Leszek K. nadal jest bez pracy, od przeszło półtora roku. „Chce pan wiedzieć, jak to się dokładnie zaczęło? — zapytał. — Proszę bardzo, ja tu mam dziennik rozmaitych wydarzeń służbowych, i nie tylko, który prowadziłem jak każdy dobry kierownik”. Niech będzie więc wolno i dziennikarzowi przedłożyć własny dziennik zasadniczych momentów tej sprawy, zrekonstruowany głównie w oparciu o dokumenty i uzupełniony dzisiejszym spojrzeniem ludzi bezpośrednio zainteresowanych całą kwestią.

ROK 1970

Kwiecień. Prezes udziela Leszkowi K. 1500 zł zapomogi, pisząc przy tym: „Życzę Obywatelowi dużo zdrowia, zadowolenia w pracy zawodowej, pomyślności w życiu osobistym i rodzinnym”. Równocześnie do Zawodowego Studium Administracyjnego, gdzie Leszek K., zamierzając pozostawić w WSS dodatkową studium, złożył podanie o przyjęcie go na I rok, idzie opinia ze Spółdzielni: „Pracownik obowiązkowy, zdyscyplinowany, dobry organizator pracy... Za sumienną pracę był wielokrotnie nagradzany...” Leszek K. dostał się na studia i nadal kierował Działem Reklamy WSS. Sielanka.

10-20.X. W podległym Spółdzielni „Bazarze” trwa akcja tzw. premiowanej sprzedaży, na którą środki zostały zabezpieczone z funduszy Działu Reklamy WSS.

29.X. Leszek K. otrzymuje dyplom ukończenia dwuletniego zaoczego studium reklamy przy PTE w Warszawie.

14.XI. Leszek K. pisze notatkę służbową, że zakończona akcja sprzedaży premiowanej jest rozliczana niezgodnie z instrukcją, co — jak podaje — „uniemożliwia zrefundowanie kosztów zrealizowanych premii”. I tu zasadniczo rozpoczęła się sprawa Leszka K., choć nie tylko jego.

16.XI. Jednostka kontroli wewnętrznej WSS, do której Leszek K. skierował swoją notatkę, kontroluje akcję „Bazaru”, w efekcie czego ujawnione zostają nadużycia na kwotę 115 tys. zł. W dalszej perspektywie całość materiałów tej kontroli zostanie przekazana do KW MO, a śledztwo milicji i prokuratury wykryje inne jeszcze nadużycia popełnione w Spółdzielni.

4.XII. Wiceprezes rozmawia w swoim gabinecie z Leszkiem K., który w wyniku tego dialogu zasiada za stołem i pisze następująco: „W związku z zarzutami pod moim adresem, że kontynuowane przeze mnie studia wyższe przeszkadzają w wykonywaniu obowiązków służbowych, co stawia mnie przed problemem wyboru między pracą w WSS a studiami, proszę o zwolnienie mnie z pracy”. Pismo to składa na ręce wiceprezesa i wychodzi z gabinetu, po czym wiceprezes odnotowuje na piśmie Leszka K.: „Przychylamy się do prośby w okresie ustawowym”. I tak z pierwszorzędnego pracownika robi się pracownik zwalniany.

— Jak pan motywuje swą ówczesną decyzję złożenia takiego pisma? — pytam Leszka K.

— Zaczęła trzeba od tego, że gdyby nie moja wcześniejsza notatka służbowa, to najprawdopodobniej jednostka kontroli wewnętrznej nie

domość przewodniczący Rady Zakładowej przegrywa zainteresowanemu w obecności sekretarza POP. I na tym sprawa na razie się urywa. Jest przecież grudzień 1970.

ROK 1971

21. Umiera przewodniczący Rady Zakładowej.

21.I. Pismo Działu Kadr WSS do Leszka K., że jego deklaracja z 4.XII.1970 r. traktowana jest jako „ustawowe wypowiedzenie umowy o pracę”. Pismo to w ogóle nie zostaje doręczone adresatowi, oryginał i kopie tkwią w aktach.

22.I. Leszek K. składa w swej instytucji następującą notatkę: „Niniejszym anuluję moje pismo złożone w dniu 4.XII. ubiegłego roku, ponieważ zostało mylnie zinterpretowane”.

27.I. — 11.III. Leszek K. jest na urlopie szkoleniowym, zdaje egzaminy w sesji zimowej na ZSA. W tym czasie WSS przeprowadza reorganizację — z zalecenia swoich władz centralnych włącza Dział Reklamy do Działu Organizacji i Techniki Handlu, mianując kierownikiem łączonych działów dotychczasowego szefa OTH.

12.II. Leszek K. przychodzi do pracy, w dawnym Dziale Reklamy nie zastaje już swojego biurka, nie

pertyzy grafologicznej nie wiadomo kto.

— Wygląda na to, że panu proponowano dogodnie warunki pozostania w WSS lub przeniesienia się do innej instytucji? — pytam Leszka K. — I to mimo, iż w Spółdzielni była akurat reorganizacja i nie wakowało stanowisko kierownicze, a pańska sytuacja nie była jasna?

— Nie podobno! O obu niewyślanych do mnie pismach dowiedziałem się dopiero w sądzie, tak że przedtem mogłem swoją sytuację traktować jako wyjaśnioną, anulowałem przecież swe pismo z grudnia 1970 r. Ze sławetnego zebrania w marcu 1971 r. w pewnym momencie wyszedłem, więc skąd mogłem wiedzieć, że proponują mi ARGED, a zresztą dlaczego ta instytucja nie zwróciła się w końcu do mnie samego, chyba to normalne? Pisma z 22.III.1971 r. nie podpisywałem...

— Więc o co panu wtedy ostatecznie szło?

— Po prostu chciałem pracować, gdzie dotąd pracowałem. Już nawet nie jako kierownik, ale w swoim zawodzie: organizator reklamy, nie zaś dekoratora, bo na to brak mi kwalifikacji. Nic konkretnego mi nie zaproponowano, o porobach nikt nie mówił, ostatecznie

wpadłaby na trop nadużyć w „Bazarze”, a oni tam nawet nazwiska Niemowląt podstawiali jako kupujących i nagradzanych premią, którą zgarniali dla siebie. W oczach ówczesnego prezesa i wiceprezesa mogłem być tym, który im życie utrudnia wywołaniem jakichś kontroli. 19 listopada wiceprezes mnie wezwał i powiedział: co pan narozrabiał, wszystko się wyjaśni, ludzie mają kłopoty tylko... — Ale przecież z góry było wiadome, że prezes i wiceprezes z ra-

ma jego pracowników, jest Dział Gastronomiczny.

19.II. Pismo Działu Kadr WSS do Leszka K., że jego „wymówienie” zostało przyjęte, lecz że mogą go przenieść do Działu OTH przy utrzymaniu dotychczasowego wynagrodzenia. Pismo to w ogóle nie zostaje doręczone adresatowi, oryginał i kopie tkwią w aktach.

11.III. Posiedzenie Prezydium Zarządu WSS, Rady Zakładowej oraz Egzekutywy POP. W protokole tego zebrania, nie opatrzonym datą, kiedy został porządony, napisano m. in.: „Prezes poinformował, że wiceprezes załatwił pracę Ob. K. w ARGED-zie na stanowisku kierownika, względnie może pozostać w Dziale Reklamy w wykonawstwie. Ob. K. nie sprecyzował swojego stanowiska co do propozycji”. Z protokołu wynika, że Leszek K. był na tym zebraniu jako członek Rady Zakładowej.

12.III. Pismo wiceprezesa do Leszka K., że ten ostatni może pracować w WSS na stanowisku starszego dekoratora. Pismo doręczone adresatowi, lecz nie zawierające informacji o warunkach pracy.

22.III. Pismo wewnętrzne WSS do Działu Spraw Pracowniczych, w którym mówi się, że na zebraniu w dniu 11 marca postanowiono Leszka K. zapropionować pracę w Dziale Reklamy w wykonawstwie z utrzymaniem dotychczasowych poborów. Zapropionować pracę na stanowisku kierownika działu w ARGED-zie (co załatwił wiceprezes). W przypadku niewyrażenia zgody przez Ob. K. na podjęcie pracy w Dziale Reklamy w wykonawstwie rozwiązać umowę o pracę na drodze wzajemnego porozumienia stron z dniem 31 marca 1971 r.” Pismo chyba nie doręczone Leszkowi K., aczkolwiek ktoś się podpisał, że je otrzymał. Bez eks-

ma jego pracowników, jest Dział Gastronomiczny.

19.II. Pismo Działu Kadr WSS do Leszka K., że jego „wymówienie” zostało przyjęte, lecz że mogą go przenieść do Działu OTH przy utrzymaniu dotychczasowego wynagrodzenia. Pismo to w ogóle nie zostaje doręczone adresatowi, oryginał i kopie tkwią w aktach.

11.III. Posiedzenie Prezydium Zarządu WSS, Rady Zakładowej oraz Egzekutywy POP. W protokole tego zebrania, nie opatrzonym datą, kiedy został porządony, napisano m. in.: „Prezes poinformował, że wiceprezes załatwił pracę Ob. K. w ARGED-zie na stanowisku kierownika, względnie może pozostać w Dziale Reklamy w wykonawstwie. Ob. K. nie sprecyzował swojego stanowiska co do propozycji”. Z protokołu wynika, że Leszek K. był na tym zebraniu jako członek Rady Zakładowej.

12.III. Pismo wiceprezesa do Leszka K., że ten ostatni może pracować w WSS na stanowisku starszego dekoratora. Pismo doręczone adresatowi, lecz nie zawierające informacji o warunkach pracy.

22.III. Pismo wewnętrzne WSS do Działu Spraw Pracowniczych, w którym mówi się, że na zebraniu w dniu 11 marca postanowiono Leszka K. zapropionować pracę w Dziale Reklamy w wykonawstwie z utrzymaniem dotychczasowych poborów. Zapropionować pracę na stanowisku kierownika działu w ARGED-zie (co załatwił wiceprezes). W przypadku niewyrażenia zgody przez Ob. K. na podjęcie pracy w Dziale Reklamy w wykonawstwie rozwiązać umowę o pracę na drodze wzajemnego porozumienia stron z dniem 31 marca 1971 r.” Pismo chyba nie doręczone Leszkowi K., aczkolwiek ktoś się podpisał, że je otrzymał. Bez eks-

Maciej Podgórski

to ogóle nie dopuszczono mnie do pracy.

31.III. Leszek K. przestaje być pracownikiem WSS.

17.V. Krakowskie Biuro Ogłoszeń i Reklam, które poszukuje akwizytorów w miastach wojewódzkich, odpowiada na ofertę Leszka K.: „Komunikujemy, że został Pan zaangażowany na 3-ech miesięczny okres próbny od dnia 1 czerwca br.” Biuro prosi też, żeby złożyć swe papiery w wydawnictwie „Epoka”. Papiery zostały złożone.

25.V. Leszek K. jedzie do Krakowa, żeby sprawę ostatecznie sfinalizować i dowiaduje się, że jego angaż jest nieaktualny. Odtąd stanie się etatowym bezskutecznym poszukiwaczem pracy, choć na kwalifikowanych pracowników reklamy istnieje podobno duże zapotrzebowanie.

ROK 1972

4.I. Przesłuchanie Leszka K. na okoliczność nadużyć w WSS.

28.I. „Kurier” zamieszcza artykuł „Biada uczciwemu”, który skrupulatnie rekonstruuje sprawę Leszka K. i z którego wynika, że Leszek K. jest demonelem uczciwości, a prawie wszyscy wokół niego pijacko-złodziejską mafią, i że właściwie sprawa Leszka K. winna się przemienić w swoisty „proces przeciwko miastu”. Niebawem staną się zdejmnowanie ze stanowisk wszystkich dotychczasowych prezesów WSS w liczbie trzech i obsadzanie wakatów nowymi osobami. I to już są fakty.

— Zona pańska, o ile wiem, zarabia około 2 tys. zł miesięcznie.

Macie na utrzymaniu dwoje dzieci w wieku szkolnym. Z czego państwo żyłicie jako rodzina od momentu, gdy przestał pan pracować w WSS?

— Brałem jakieś dorywcze i drobne reklamarskie chaltury. Skąpień dopomógł mi „Kurier”, którego od lat jestem współpracownikiem jako grafik. No i ciągle liczyłem, że znajdę na miejscu stałe zajęcie. Szukałem. Byłem gotów do pracy.

— Ale nie znalazł pan. Jak pan sądzi, dlaczego?

— Najczęściej kończyło się tak jak z krakowskim biurem. Wpiero zachęta, po pewnym czasie fiasko. Mogłem się obracać przede wszystkim wokół branży handlowej w naszym nie największym mieście. Cenię tych, którzy mi przynajmniej otwarcie powiedzieli: ale pan narozrabiał!

— Powiedzmy sobie więc i my otwarcie: zdjęto ze stanowisk ludzi, którzy mogli, co nie znaczy, że tak było, wybrał pan szepną telefoniczną opinią. Ale pan i potem nie mógł znaleźć pracy.

— Myślę, że gorsza od opinii rozrabiacza jest opinia harcerza, bo z takim to już nikt nie będzie chciał rozmawiać... W tym roku ponownie wysłałem do krakowskiego biura ofertę, dołączając artykuł z „Kuriera” i też dostalem odpowiedź odmowną, choć wakat był.

17.II. Leszek K. wysłał do WSS pismo, w którym domaga się przywrócenia go do pracy i wypłacenia mu pensji (4 tys. zł miesięcznie) za okres 11 miesięcy. Wtedy nie ma już dawnego i nie ma jeszcze nowego prezesa WSS.

18.III. Do Sądu Powiatowego wpływa powództwo cywilne Leszka K. przeciwko WSS o dopuszczenie do pracy i wypłatę pensji za 12 miesięcy.

5.IV. Posiedzenie wyjaśniające Sąd Powiatowy. Pozwana Spółdzielnia, która teraz ma już nowe kierownictwo w komplecie, wniosła o oddalenie powództwa w całości.

28.IV. Rozprawa Sądu Powiatowego. Stanowisko stron bez zmian.

23.V. Rozprawa Sądu Powiatowego. Stanowisko stron bez zmian.

23.VI. Ogłoszenie wyroku przez Sąd Powiatowy, który dopuszcza Leszka K. do pracy w WSS i przyznaje na jego korzyść kwotę 16 300 zł ze strony Spółdzielni (wynagrodzenie za 6 miesięcy, obliczone od pensji bez premii uznaniowej, minus 2 900 zł, zarobione przez powoda pracami dorywczymi).

12.VII. Do Sądu Wojewódzkiego wpływa rewizja obu stron.

8.IX. Rozprawa rewizyjna. Sąd Wojewódzki postanawia przekazać sprawę do ponownego rozpoznania w I instancji. Z uzasadnienia wyroku: „Obu rewizjom, o ile zmierzają do uchylecia zaskarżonego wyroku, nie można odmówić słuszności... O ile pismo powoda z dnia 4.XII.1970 r. można byłoby potraktować jako wypowiedzenie umowy o pracę, to wówczas poglądu Sądu Powiatowego o skuteczności cofnięcia tegoż nie można byłoby podzielić...” Ale Sąd Wojewódzki zaleca ustalić, czy istotnie to pismo jest wypowiedzeniem, skoro nie zawiera słowa „wypowiadam” oraz finalnego terminu wypowiedzenia. I tak dalej. Szereg rzeczowych wątpliwości wobec interpretacji przez Sąd Powiatowy stanowiska i sytuacji obu stron. Sprawa jest trudna. Strony od dawna powołują się nie tylko na ustawy i paragrafy, lecz i na interpretacje i opracowania. Radca prawny WSS powiedział przed Sądem Wojewódzkim: „Tak jest wie-

Dokończenie ze str. 1

syna. Kazimierz chciał się uczyć. Istniały po temu sprzyjające warunki, bo właśnie wówczas, w 1937 roku, Towarzystwo Szkoły Świeckiej zorganizowało pierwsze w historii Bilgoraja gimnazjum, na które szczerze synał pieniądze ex-rolnik Blacha, co zrobiwszy majątek w Ameryce, na starość w Bilgoraju osiadł, ale Ludwikowi nie dysponowali odpowiednimi funduszami — w domu było pięćoro dzieci, a budowlana konkurencja z roku na rok rosła w siłę. Koniec końców posłano chłopca do dwuletniej szkoły przysposobienia zawodowego, która dawała jakieś takie pojęcie o materiałoznawstwie, podstawach rachunkowości, kładła duży nacisk na przysposobienie wojskowe, a tak na dobrą sprawę miała na celu wypełnienie wolnego czasu młodzieży po skończeniu podstawówki, a przed dojeściem do pełnoletności.

Najbliższe dwa lata zeszyły więc Kazimierzowi pomiędzy śledzeniem w lawie szkolnej a pomaganiem ojcu w cieszolce, która — coraz bardziej zdawał sobie z tego sprawę — zupełnie go nie interesowała. Myślał wtedy wiele o ptakach. Chciałby być ptakiem. Jak ptak wylecieć gdzieś daleko z rodzinnego gniazda. Może w niego najbardziej z całej rodziny wrodził się niekonwencjonalizm dziadka?

Wtedy właśnie wybuchła wojna. W po-

łowie września niespełna szesnastoletni wówczas członek „Strzelca” został włączony do grupy młodych ludzi eskortującej podwozy z dobytekmi powiatowej organizacji strzeleckiej — na wschód. W splekocie i kurzu, wśród cofających się oddziałów polskich wojsk, kilkakrotnie bombardowani i ostrzeliwani przez niemieckie samoloty, wleki się — w kilka turmanek, na których leżało trochę zutej broni i dwa motocykle, bo zabrakło benzyny — daleko za Bug, aż pod Luboml, gdzie w poaranym pociskami lesie, wśród krzyku rannych ludzi, zakończyła się ich krótkotrwała przygoda wojenna.

Po ostatnim bombardowaniu w lesie pod Lubomlem koledzy mieli go za zabitego i wiadomość o śmierci Kazimierza przyniesli do domu nad Ładą. Ale chłopak nie był nawet draśnięty. Kiedy w Bilgoraju oplakiwano go, on na grzbiecie ochwaczonego konia, którego kupił za osiem złotych od jakiegoś kaprala, włókł się lasami, bocznymi trakami, wspominając dawane przez dziadka nauki o orientowaniu się w terenie — do domu rodzinnego, o którego opuszczeniu jeszcze tak nie dawno marzył... Do Bilgoraja wjechał w niedzielę. W drzwiach domu stał ojciec. Na jego widok rozplakał się.

Mieli więc konia. Ojciec wydzierzał kawałek ziemi, było ją czym obrabiać, doleciało trochę grosza z cieszolki. I tak jakoś się im żyło.

W 1942 roku Kazimierz skończył osiemnaście lat, stał się pełnoletni. Od tego momentu zaczęli się nim interesować Niemcy. Został wzięty na roboty do Rzeszy. Dojechał tylko do Lublina. Nocą przezołgał się pod drutami obozu przejściowego przy ulicy Krochmalnej, po kilku

dniami przemaszerował do Bilgoraja. Znajomy urzędnik z Arbeitsamtu, dobry Polak, Alfred Mroczkowski, „ukrył” go wśród robotników niemieckiego majątku rolnego położonego w okolicy. I tam jednak długo miejsca nie zagrzał. W kilka miesięcy później zabrano Kazimierza do obozu pracy w Niedzwicy, gdzie spędzeni z okolicy chłopci budowali tory kolejowe. Praca była rujnująca zdrowie, raczej żywnościowo — głodowe. Nadzór nad obozem sprawowali osławieni „czarni”, brygadziści byli najczęściej Polacy zaprzędani Niemcom. Dotychczasowe przejścia Kazimierza Ludwika nie mogły się równać z warunkami, w jakich znalazł się tutaj, w Niedzwicy. Ale też z drugiej strony on sam zdolał już dobrze okrzepnąć wobec przeciwności losu, stał się czujny, ostrożny, zdecydowany. Te przymioty miały mu się później przydać w wojsku, na froncie. Tymczasem nie umiał jeszcze w pełni opanowywać wrodzonej zadzierzwości: dał się sprowokować sługosowi — brygadziście, wałnął go na odlew w pysk. Tamten przejechał mu nożem po żebrach, chłopak chwycił za stółek — rozwałił łeb. Potem dołożył podobnie dwom następnym, którzy nadbiegli koleźce na pomoc. Przybyłe kolejne posiłki wzięły go już sprawnie pod obsady. Odszykal przytomność po dwóch dniach, w karmym bunkrze, złany krwią. Ale i tak miał szczęście. Dostał „tylko” 150 dni karnego obozu pracy. Oboz mieszcił się w Lublinie, w pobliżu dworca kolejowego. Więźniowie przymerali głodem,

Człowiek był

wykonywali najcięższe prace po kilkanaście godzin na dobę, byli bez powodu bici i kopani. Kazimierz przez pierwszych dziesięć dni leżał na prycy — nawet Niemcy uznali, że jest zbyt skatowany, żeby mógł się ruszyć. Jedenastego dnia powłóki się z innymi do ładowania żwiru na platformy kolejowe. Tegoż dnia zdecydował, że jeśli chce żyć, musi zaryzykować ucieczkę. Strażnicy bili więźniów — żelaznymi drągami przez deskę przykładaną do pleców. Odbijano płuca, nerki, lamano żebra. Najbliższej nocy uciekł z obozu. Znowu kluczył bocznymi drogami, szedł bez odpoczynku, ustanowiwszy przy tym swoisty rekord: w półtoręj doby dotarł w rodzinne strony.

Uszedł Niemcom, ale tym razem był dla swoich już zbyt niebezpieczny. Za pomoc uciekinierowi z karnego obozu groziła śmierć.

W pobliżu domu, w ziemnej skarpie zawieszanej nad rzeką Ładą, wykopał niewielką jamę, wejście zamaskował krzakami. W tej norze krył się jak lis, całym tygodniami nie oglądając światła dziennego, skradając się nocami do domu po kęs strawy, po ciepłe miejsce przy kominku. W spokojniejszych okresach, gdy wydawało się, że Niemcy o nim zapomnieli, krzątał od wsi do wsi, od znajomego do znajomego sygnalizując swoim brzożom, stajniakom.

W lipcu 1944 r. przyszło wyzwolenie.

A już w sierpniu dwudziestoletni chłopak z Bilgoraja kolejny raz przemierzał piechotą Lubelszczyznę. Tylko, że tym razem bez strachu, z rekrutkim kufrem na ramieniu. Masterował do Włodawy, do Warszawskiej Brygady Sapierów... Człł się człowiek wtedy jak wolny ptak” — powiedział po latach o tym dniu do dziennikarza przewodniczący Prezydium MRN w Bilgoraju.

Przewodniczący Ludwik powiada, że wryły mu się na zawsze w pamięć trzy daty, wszystkie związane z okresem pobytu w wojsku. Dziennikarzowi wydaje się, że powinna dojść do tego jeszcze jedna: dzień, w którym Kazimierz Ludwik został gospodarzem miasta Bilgoraja. No, ale to już osobista sprawa przewodniczącego...

17 października 1944 r. w szeregach Samodzielnej Kompanii Zwiadowczej wykonywał nad Wisłą pierwsze zadania bojowe. Trafił od razu na najtrudniejszy odcinek frontu, zasłynął jako doskonały zwiadowca, otrzymywał najtrudniejsze zadania, szybko awansował. Tacy jak on, wybrani spośród setek najodważniejszych, przechodzili specjalne szkolenie podobne do wyszkolenia komandosów: strzelanie z różnych rodzajów broni, walka wręcz, umiejętność posługiwania się nożem, do-

le zagadek w tej sprawie, że już nawet przepisy nie radzą".

IX. Wyrok w sprawie dyrektora „Bazaru” — 2 lata zaliczeniem aresztu. Sprawa karna. Wyrok nieprawomocny. Zapowiedź rewizji. Nie udowodniono uczestnictwa oskarżonego w nadużyciach akcji premiowej.

XI. Sprawa Leszka K. i WSS ponownie w I instancji. Rozprawę odroczone. Strony powołały świadków na dodatkowe zeznania.

— Dlaczego dopiero po roku zdecydował się pan oddać sprawę do sądu? — pytam Leszka K.

— Musiałem czekać aż zdejmą prezesów i aż się jakoś wyjaśni kwestia „Bazaru”, która w mojej sprawie ma spore znaczenie. Teraz akta karne „Bazaru” mogą być dołączone do mojej sprawy. Gdy sąd wyda wyrok dla mnie pozytywny, to będzie ulaskawienie. Nie muszę do końca życia pracować w WSS, ale mogę w każdej instytucji powiadzieć: teraz pracuję w WSS i chcę się przenieść. Wrócę też na studia, które musiałem przerwać.

— Dlaczego obecne kierownictwo WSS upiera się przy stanowisku reprezentowanym wobec pana przez dawne kierownictwo?

— Nie wiem, może chodzi o prestiż przedsiębiorstwa, zresztą dawny wiceprezes dotąd tam pracuje...

Rozmawiam z nowym prezesem WSS:

— Sprawa Leszka K. to jest spuszczana, którą zastałem — powiada. — Przy jego specjalizacji nie mam możliwości zatrudnienia go w WSS na stanowisku kierownika, bo to jest obsadzone, a zresztą Dział Reklamy obecnie nie istnieje. Nie możemy mu też wypłacić żądanych 48 tys. zł, czy jakiegokolwiek innej kwoty, bo powstaje pytanie, kogo obciążać, czy tylko samo przedsiębiorstwo? Tym więcej, że sprawa nadal jest sporna i zbyt dyskusyjna, żebyśmy mogli zdecydować o niej w sposób zasadniczy. Z tych wszystkich względów musimy czekać na wyrok sądu. Jeśli nawet Leszek K. wygra, to przynajmniej ja będę miał ręce rozwiązane. Wyrok prawomocny będzie podstawą do starania o zwiększenie funduszu plac, a i kwestię żądanych sum wyjaśni, kto ma płacić i za co.

Nie pierwszy raz zdarza mi się stać przed tak trudną sytuacją konkretnego człowieka. Sprawa Leszka K. od początku była bardzo źle załatwiona przez WSS. Nie idzie już o to, że dawny wiceprezes wyparł się przed sądem, jakoby zmarły przewodniczący Rady Zakładowej uzgadniał z nim cofnięcie decyzji wymowności Leszka K. Bo tu nigdy byle kierownictwo WSS nie podjęło właściwie żadnej rozsądnej i stałej decyzji. Poglądy były sprzeczne i ciągle zmieniały się, o czym świadczą niedoreczone adresatowi pisma. Działali widły ambicjonalne, być może także ze strony Leszka K., w jego przypadku bardziej niesprawiedliwe niż w przypadku dawnych szefów WSS. I tak się ta sprawa zawiązała, i wika się dalej.

Z drugiej strony — trudno odmówić słuszności stanowisku nowego prezesa WSS. Tylko że Spółdzielnia może przedłużyć sprawę i czekać, Leszek K. — nie, bo musi z czegoś żyć! To się już ciągnie zbyt długo, człowiek jest bez pieniędzy, jego zobowiązania finansowe rosną, pracy nie ma i nie widąc końca tego wszystkiego, bo po wyroku w I instancji znowu przysługuje stronom prawo rewizji. Jedyna pociecha, że sprawa Leszka K. ma wymiar bardzo pouczający na nieco szerszym tle stosunków: instytucja — pracownik. Ale to słaba pociecha w tym konkretnym przypadku.



Fot. J. Urban

TYGODNIK francuski „L'Express” nazwał Ren największym przemysłowcem Europy. Przeprowadzone na granicy Holandii badania wykazały, iż rzeka unosi z sobą w ciągu roku 120 tys. ton żelaza, 1500 ton ołowiu, 1000 ton arseniku, 85 ton rtęci i — od czasu uruchomienia kopalni soli potasowych w Mulhouse we Francji — ponad 12 milionów ton soli! Rzeka biologicznie umiera, a najgorsze jest to, że fabryki, tak skutecznie zanieczyszczające rzekę, nie bardzo się tym przejmują. Odpowiadają nawet, że budowanie oczyszczalni spowoduje podniesienie cen na ich wyroby, co z kolei pociągnie za sobą inflację itd. W rezultacie Holendrzy (powiązane z Renem kanały decydują tu o całym życiu) mieszkają w kraju, który w niedługim czasie stanie się normalnym szambem o niezwyklej toksyczności.

Podobna sytuacja nigdzie w Polsce nie występuje. Choć z drugiej strony nie bardzo wiadomo, ile metali czy trujących związków organicznych i nieorganicznych spływa naszymi rzekami. A nie wiadomo dlatego, że u nas operuje się wskaźnikiem BZT-5, który określa zużycie tlenu na oczyszczenie 1 litra wody — co dla fachowców jest wskaźnikiem bardzo konkretnym i wymownym, ale dla przeciętnego człowieka pachnie nie lubianą od szkoły chemią, więc nie przemawia ani do rozumu ani do wyobraźni. A szkoda, bo przecież to raczej nie fachowcy zanieczyszczają nasze rzeki.

Od czasu słynnego raportu ówczesnego sekretarza generalnego ONZ, U Thanta, sprawa ochrony środowiska naturalnego człowieka stała się zagadnieniem pierwszorzędnej wagi międzynarodowej, czego chociażby przykładem jest zawarte podczas wizyty w Moskwie prezydenta Nixona porozumienie między ZSRR i USA. Wprawdzie wielu fachowców twierdzi, że termin „ochrona środowiska” nie jest właściwy, zakłada bowiem z góry sytuację obronną a nie atakującą, ale nie sprzecząmy się o terminy, gdy wszyscy wiemy, o co chodzi. Warto natomiast byłoby, aby w pojęciu ochrony środowiska umieszczać nie tylko zanieczyszczenie rzek i zanieczyszczenie powietrza, a ostatnio zagadnienia demograficzne — ale także kultury życia społecznego i indywidualnego człowieka, która ma bardzo ważny wpływ na kształtowanie się naszego środowiska biologicznego, co już bezpośrednio wkracza w sferę zagadnień genetycznych. A co z zanieczyszczeniem estetycznym?

Czy zatrujemy samych siebie?

Jerzy Dostałni

Miejmy nadzieję, że mieszkańcy województwa lubelskiego nigdy nie staną przed takimi problemami, jak Holendrzy czy mieszkańcy Nowego Jorku lub Paryża. Nie oznacza to jednak, że możemy spokojnie zamknąć oczy i nie przejmować się tym, co może nam przynieść już niedaleka przyszłość. Niebezpieczeństwo bowiem czyha na każdym kroku. Jeszcze przed 10 laty nikt nie przypuszczał, nawet wśród przeciwników takiej lokalizacji inwestycji, jakie będą uboczne wyniki działalności puławskich Azotów. Dziś wystarczy pojechać drogą z Puław na Dęblin, aby zobaczyć drobny tylko wycinek rzeczywistości. Ostatnio sprawa przybrała dość niezwykły obrót. Otóż Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych oszacował swoje straty i wystąpił do Azotów o pokrycie tych strat w wysokości — 112 milionów zł! Jest to sprawa w naszym kraju bezprecedensowa i chociaż nie wiadomo, jak się zakończy, to przecież wiele symptomatyczne. Symptomatyczne — bo dotychczas przewagę mieli głosiciele teorii, że postęp techniczny i technologiczny musi wpływać ujemnie na środowisko naturalne. A tymczasem wcale nie musi. Jeżeli ów postęp jest rzeczywiście postępem, to musi nie tylko produkować więcej, lepiej i taniej, ale również coraz bardziej ograniczać ujemne skutki swojej działalności, a nawet do nich nie dopuszczać. Dodajmy jeszcze, że Azoty zapłaciły już milion zł odszkodowania na mocy orzeczeń arbitrażowych, a kilka takich spraw jest jeszcze w toku.

Gwałtowny rozwój przemysłu na Lubelszczyźnie spowodował, że w określonych warunkach lat poprzednich nie zawsze przeznaczano odpowiednie środki na oczyszczanie ścieków czy odpływanie. Dotyczy to zwłaszcza cukrowni i mielarń, które ze względu na specyfikę swojej produkcji potrzebują bardzo wiele wody. Stanowczo za wiele. Cukrownie powiadają, że w wyniku coraz większej mechanizacji zbioru buraków cukrowych były zmuszone podnieść dopuszczalny procent zanieczyszczeń przy dostawach buraków. W wyniku zużywają prawie 16 razy więcej wody, niż waży przerobione buraki. No właśnie — postęp techniczny doprowadził do znacznego zwiększenia mechanizacji zbiorów, ale konstruktorzy nie pomyśleli o tym, aby owe kombajny dostarczały chociażby takie buraki, jakie otrzymuje się przy zbiorach ręcznych. A przecież konstrukcyjnie rzecz jest możliwa, jeżeli innego rodzaju maszyny czyszczące wykonują swoją pracę nie tylko szybko, ale i znacznie dokładniej niż najbardziej pracowite ręce. Gdyby zaś w owych cukrowniach wprowadzono ciągły obieg wody, jej zużycie spadłoby o 50 proc.

Gdy sprawy ochrony środowiska niepokoiły jeszcze nieliczne, Wydział Gospodarki Wodnej Prezydium WRN — chociaż miał za sobą odpowiednie ustawy i nawet przepisy wykonawcze — niezbyt często mógł sobie pozwolić na karanie potentatów przemysłowych, a nawet pokaźnej części mniejszych przedsiębiorstw. Zresztą i w samym Wydziale sprawa nie stała zbyt ostro. Tak więc w roku 1965 za szkodli-

we zanieczyszczenie (głównie rzek) wydano tylko 4 decyzje o ukaraniu, w roku następnym — 5. Ale w roku 1971 takich decyzji wydano 69 (na sumę 1125 tys. zł), a w ciągu 10 miesięcy roku bieżącego już 107, zaś suma kar wynosi 5 mln zł. Wśród ukaranych nie brakuje nawet szpitali — w Lukowie, Radeczkowicach czy Białej Podlaskiej. Trzeba tu jeszcze wyjaśnić, że nie karze się za zanieczyszczenie, gdy w przedsiębiorstwie (lub szpitalu) brakuje odpowiednich urządzeń oczyszczających, ale za złą lub niepełną eksploatację istniejących, nawet za pojedyncze wypadki, gdy wskutek braku nadzoru lub lekceważenia obowiązków następuje jednorazowe przekroczenie dopuszczalnych wskaźników. Każde bowiem przedsiębiorstwo, każda jednostka produkująca ścieki posiada określoną liczbę „ładunków” trujących, których przekroczyć nie może. Jeżeli przekroczy — płaci karę. Pod warunkiem, że znajdują się na to dowody, co nie zawsze jest jednak możliwe.

Ostatnia sesja Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie także była poświęcona ochronie środowiska. Podkreślając, że polska norma jako dopuszczalna granicę zapylenia przyjmuje 250 ton opadu pyłów w ciągu roku na jeden km kwadratowy, przedstawiono wyniki badań: w 24 rejonach miasta zapylenie jest większe, a rekordy biją okolice placu Łokietka — 518 ton. Dlaczego właśnie tu? Stosunkowo największa koncentracja pyłów węglowych, największe natężenie ruchu samochodowego (łącznie ze ścieraniem nawierzchni asfaltowej), różne materiały wysypujące się z nieszczelnych ciężarówek, pył leśny przynoszony tu przez wiatry ze wszystkich stron, całkowity brak zieleni...

„Sztandar Ludu” i „Kurier Lubelski” szczegółowo zrelacjonowały przebieg owej sesji, zwłaszcza treść obu referatów — nie będę więc powtarzał opublikowanych już danych. Myślę jednak, że warto zrelacjonować treść rozmów, które przeprowadziłem — jak się zastrzegali (czemu?) moi rozmówcy: nieoficjalnie — na korytarzach Ratusza lub w piwniczce, okazjonalnie zamieniano na coś w rodzaju baru kielbasiano-kawowego.

Otóż jeden z mówców, przy aprobującym pomruku niektórych radnych i osób z tzw. galerii, wystąpił z wnioskiem, aby już, niemal od jutra, zlikwidować ruch samochodowy na Krakowskim Przedmieściu, Lubartowskiej, Rady Delegatów, Królewskiej i ich najbliższych przecznicach. Przy kawie lub kielbasie skwitowano to krótko: nonsens. Bo niby zakaz wydać można łatwo, tylko co dalej? Aby taki zakaz wprowadzić, trzeba najpierw zbudować sieć arterii objazdowych, tras przelotowych, a sieć taką dopiero zaczynamy realizować.

Inny mówca twierdził — wbrew odczuciu, a raczej powoleniu mieszkańców — że zarówno Bystrzyca jak i Czuchówka oraz Czerniejówka w obrębie

miasta są już bardziej czyste niż przed trzema czy czterema laty. Może są czystsze, ale w dalszym ciągu niezwykle brudne. Kąpiel w Bystrzycy graniczy nadal z bohaterstwem — ze względu estetycznych i zdrowotnych. Gdyby Prezydium MRN mogło zmobilizować na własną odpowiedzialność flotyllę łodzi oraz kajaków i zorganizować dla radnych spływy przez miasto po Bystrzyce, z obowiązkiem zatrzymania się w co bardziej „atrakcyjnych” miejscach...

Lublin od dawna odwrócił się tyłem do swoich rzek. I nic nie wskazuje na to, aby nastąpiła jakaś zmiana. Gdzieś przed 10 laty głośno było o budowie bulwarów spacerowych nad Bystrzycą. Zaczęły się nawet pierwsze prace na odcinku pomiędzy ulicami Świerczewskiego i Buczka. Miał tym kierować Miejski Komitet Czynów Społecznych, który nawet zlecił opracowanie jakiejś dokumentacji, ale potem przeczuli się na urządzanie targowiska na Podgrodziu co okazało się kolejnym niewypałem z dużej armaty. Dziś nawet kaczki i gęsi, które niebacznie zapędzą się nad Bystrzycę, wychodzą zabrudzone po dzioby z rzeki, która przecież mogłaby stać się i ozdobą i rekreacją miasta.

Powiadamy, że największym trucielem prawda w centrum są samochodowy. Ale czy na obrzeżach tego centrum jest chociażby jeden parking? Najwięcej samochodów można postawić właśnie na pl. Litewskim oraz w bezpośrednim sąsiedztwie pl. Łokietka — na Rynku Starego Miasta i przed katedrą. Miał być taki parking urządzony na placu koło gmachu DOKP przy ul. Okopowej. Kto teraz odważy się zlikwidować istniejący tam trawnik, kto przełamie opór mieszczących się w pobliżu a możnych instytucji? Walki z motoryzacją nie wygramy ograniczeniami, nie wygrał jej nikt na świecie. Rzecz w tym, kiedy nauczymy się nią rozsądnie kierować tak, aby korzyści były większe od strat.

Tyle z kulturalnych rozmów. Myślę, że lojalnie trzeba podać także zjawiska dodatnie. Oto cukrownie województwa na oczyszczanie ścieków wydają w bieżącej pięcioletce 200 mln zł. Ministerstwo Energetyki właśnie podjęło decyzję przyznania odpowiednich środków na ogrzewanie gazem całego Starego Miasta w Lublinie. Zlikwidowano już szereg kotłowni lokalnych, a także stałe zanieczyszczenia wody przez Zakłady Spirytusowe. Posuwają się naprzód sprawy budowy nowej, wielkiej, mechaniczno-biologicznej oczyszczalni ścieków dla Lublina, Puławskie Azoty asygnują pokaźne kwoty na naukowe i techniczne opracowanie metod walki z nadmiernym wydzielaniem się azotu i innych szkodliwych czynników. 140 km rzek przeszło już z klasy III do klasy II, to znaczy, że woda nadaje się do picia przez zwierzęta, że mogą w niej żyć liczne gatunki ryb, że na brzegach można organizować kąpieliska. W ub. pięcioletce oddano do użytku 24 przemysłowe oczyszczalnie ścieków i 3 komunal-

Dokończenie na str. 11

jak ten ptak...

skonałe orientowanie się w nocy w terenie, szybkie podejmowanie decyzji. Kiedyś wyratował dwóch kolegów-zwiadowców, pchając łódkę z rannymi kolegami wśród kry, pod gęstym ogniem nieprzyjaciela. Inym razem, w drugi pamiętny dzień, 25 grudnia 1944 r. spędził wiele godzin na skutej łodzi Wiśle w poszukiwaniu rannego przyjaciela z Bilgoraja, również zwiadowcy, który został postrzelony przez nieprzyjaciela. I wreszcie trzecia data, wypadek, który być może zaważył na całym dalszym jego życiu, 17 kwietnia 1945 r. pod Częstochową...

Był już wtedy podoficerem, czuwał nad grupą saperów rozbrajających pole minowe. Jeden z jego podkomendnych, szeregowiec Wieliczko, odkrył mine, której budowy nie znano. W takich wypadkach należało dostarczyć znalezione do odpowiedniego punktu saperkiego. Podczas transportu na ów punkt zdarzył się najtragiczniejszy moment w życiu Kazimierza Ludwika: na pozór niewinnie wyglądająca puszka z dynamitem rozerwała mu się w rękach. Nawet nie stracił przytomności, chociaż wybuch w pierwszej chwili ogłuszył go. Więcej ze zdarzeniem niż ze strachem pa-

trzył na zwisające w strzępach dłonie, na pęknięte powłoki brzuszne, na wylewające się z jamy brzusznej szare kłęby jelit...

Był bardzo silny. Przeszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków w kierunku punktu opatrunkowego przyciskając poszarpaną ręką ranę na brzuchu. Ale po drodze zasłabł. Osunął się na ziemię przy skrzynce z ręcznymi granatami. Wtedy dopiero przyszła pierwsza silniejsza reakcja: ból, strach, świadomość tego, co się stało, i że na całe życie może zostać inwalidą. W pobliżu nie było nikogo, strzelec Wieliczko popędził po pomoc. Zasiadła w głowie Kazimierza myśl, żeby pozbyć się długich, zapewne bezcelowych mąk w szpitalu. Rękami nie widać, ale mógł jeszcze zębami wyrwać zawleczkę leżącą obok granatu, mógł... Ale nie zrobił tego. Nie dlatego, żeby bał się śmierci. Nie. Nagle zapragnął jeszcze raz zobaczyć Bilgoraj, pójść na grób dziadka. Opowiedzieć mu, jak to się wszystko stało. I jeszcze raz spróbować życia.

Przez kilka miesięcy leżał w podwarszawskim szpitalu odczynu traskliwą opieką dowodzona. Był wszak żołnierzem szanowanym za odwagę, za poświęcenie wobec kolegów, za czynny bojowe. Nie bez przyczyny przyznaje się w wojsku

Virtuti. I jak to bywa w wojennych opowieściach — tylko, że w tym wypadku była to najczystsza prawda — miał przy sobie przez cały ten czas ukochaną dziewczynę, która później została jego żoną. I która dała mu czworo dzieci.

1 stycznia 1946 r. chorąży Kazimierz Ludwik po demobilizacji powrócił na zawsze do Bilgoraja. Niczego dotąd w życiu nie robił poza cieszniaką i wojowaniem. Ale nawet za siekiere nie mógł chwycić — nie pozwalał na to stan rąk. Cechowała go za to inteligencja, miał silną wolę, na wojnie nauczył się współżycia z ludźmi i umiejętności kierowania nimi. Zaczął skromnie, od referenta zaopatrzenia wewnętrznego w Bilgorajskim Przedsiębiorstwie Budowlanym. Zaczął też działać na niwie społecznej. Wkrótce wybrano go na przewodniczącego organizacji związkowej w przedsiębiorstwie. Został prezesem miejscowego oddziału Związku Inwalidów Wojennych, wkrótce potem powierzono mu społeczną funkcję radnego Miejskiej Rady Narodowej. W dzień pracował, popołudniami dawał się poznać jako doskonały działacz społeczny, nocami siedział nad podręcznikami. Jeżeli w czasach wczesnej młodości marzył mu się ptasie odloty z rodzinnego miasta, to teraz z pełną świadomością i przekonaniem usadawiał się właśnie tutaj, w Bilgoraju. Jak w gnieździe.

W 1952 r. wybrano go przewodniczącym Prezydium MRN. Miejsce społeczne miało do niego zaufanie. Sprawdził się jako doskonały organizator, człowiek pełen poświęcenia, aktywny członek partii od 1947 r. Na tym stanowisku pozostał dwadzieścia lat. Za wkład w rozwój

Bilgoraja przypięto mu w 1958 r. na piersi obok Virtuti, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Niechętnie mówi o swoich powojennych osiągnięciach. „No cóż, pracowało się po prostu i przecież nie sam człowiek pracował, wielu ludzi pomagało. Czy ja wiem jak bym sobie dał radę na przykład bez pierwszego sekretarza KP, towarzysza Dechnika...? Bez entuzjazmu mieszkańców Bilgoraja?” „No dobrze — powiedziałem — ale przecież wiele zależy od tego jednego człowieka, który potrafi właściwie ukierunkować i dobre chęci i zdolności i zapali innych. W danym wypadku od człowieka umiejącego nadać odpowiedni „ton” miastu... Ma pan dwudziestoletnie doświadczenie. Co zdaniem pana powinno cechować dobrego przewodniczącego?” Zamyślił się przez chwilę. „Wie pan, ja sądzę, że to powinien być przede wszystkim człowiek wrażliwy na ludzi sprawy. Zwłaszcza na tym stanowisku trzeba umieć rozumieć ludzi. Dopiero na następnym miejscu wymienilibym zdolność posiadania własnej inicjatywy i organizatorską smykałkę. Bilgoraj rozrósł się nam niepomiarnie. Tuż po wojnie był to przysłowiowy obraz gędy i rozpaczy. Miasto w osiemdziesiąt procentach zniszczone. Brak zakładów pracy. Słabe gleby. Rozdrobnione gospodarstwo. Dzisiaj mamy 15 tysięcy mieszkańców, powstała nowoczesna Spółdzielnia Sitańska i Baza Prefabrykacji Włosa. Zakłady Dzierwiarskie „Mewa” zatrudniają ponad

tysiąc osób, a już buduje się „Mewa II” w której będzie pracowało ponad dwa tysiące ludzi, już powstaje filia „Mewa” w Leżajsku na Rzeszowszczyźnie. Dzierwiarskie zakłady „Bitra” dają pracę 600 kobietom. Rozwinął się potężnie Oddział Wikliniarski Spółdzielni Włosa, działa pełną parą Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane. No i stawiamy domy mieszkalne. Ludzie przez kilka lat nieobecni w Bilgoraju, później nie poznają go. Ale też ciągle jeszcze nie rozwiązano kwestia mieszkaniowa to nasza główna bolączka. Mamy tutaj budownictwo państwowe i zakładowe, 2 spółdzielnie mieszkaniowe, 2 spółdzielnie budowy domków rodzinnych, w blokach budowanych przez miasto mieszka ponad trzy tysiące osób, ale to wciąż mało i mało wobec narastających potrzeb. W przyszłym roku wybudujemy znowu 6 bloków mieszkalnych i wtedy zacznie się kolejny kontendans: komu dać mieszkanie, jak wyłowić z rzęsy bardzo potrzebujących tych najbardziej potrzebujących. Jakże nam wówczas zastosować kryteria wrażliwości wobec ludzkich potrzeb, jak mam najrozsądniej wniknąć w ludzkie sprawy? To są właśnie najważniejsze z gatunku pytań, jakie od dwudziestu lat zadają sobie jako przewodniczący...”

Mirosław Derecki

Kamena str. 7

BANALEM będzie po milionie powtarzaniem, gdy powiem, że Gorki był humanistą. Każdy pisarz z prawdziwego zdarzenia jest humanistą w jakimś stopniu i sensie. Lecz nasuwa mi się w związku z bieżącymi zestawieniami przy analizie „Matki” refleksja, którą ktoś z kolegi gotów uznać za ryzykowną — nie potrafię jednak oprzeć się wewnętrznemu nakazowi jej wypowiedzenia.

Otóż wydawało mi się, że na rozległym obszarze literatury rosyjskiej (a może nie tylko rosyjskiej) nie dostrzegam żadnego pisarza, który miałby tyle żarliwego współczucia dla człowieka zarówno „dobrego” jak „złego”, ile widzimy u Gorkiego i... Dostojewskiego. Wielkość bowiem ich, rzecz by można — „współcierpienia” (rosyjskie ciepłe słowo „sostradanie”) mierzą głęboko otchłani upadku człowieczeństwa, którą właśnie oni odsłaniają z maksymalną prawdziwością, lecz bez pogardy, bez oziębłego demaskatorstwa.

Na tym oczywiście kończy się analogia między dwoma pisarzami, bo Dostojewski jakby przekazywał czytelnikowi serdeczne zrozumienie dla zawinionych-niezawinionych powikłań psychicznych ludzkiej natury, podczas gdy Gorki, pisarz „gniewny” o nastawieniu dydaktycznym, wskazuje z pasją radykalny sposób niezwłocznego przecięcia absurdalnych spłotów warunków socjalno-bytowych doprowadzających człowieka do rozpacz i beztalstwa.

Tym sposobem jest, jak wiadomo, przejęcie przez oczyszczającą ogień rewolucji.

A więc „Matka”, powstała w latach 1906—1907, to nie tylko pokaz, że tak powiem — techniki przygotowywania rewolucji przez grupy socjalistów, lecz nade wszystko — obraz duchowych przeobrażeń prostych ludzi, których charaktery hartowały się w procesie ofiarnej walki o życie godne człowieka.

Iście wzruszająca jest pieczołowitość, z jaką zespół aktorski wykonujący inscenizację „Matki” na scenie Teatru im. Osterwy potraktował powierzone mu postacie. A podjęto trud niemały. „Matka” należy do powieści może najmniej podatnych na ujęcie w kształt sceniczny. To ambitne zadanie wzięli na swe barki Stanisław Wieszczycki, reżyser przedstawienia, który wykazał się przed paru laty w Opolu udatną adaptacją „Sennika współczesnego” Konwickiego. „Matka” spiętrzyła przed adaptatorem specjalne trudności. Już sama niemożliwość operowania tłumami w plenerze eliminowała najostrejsze momenty konfliktowe, jak np. pochód 1-majowy bądź tragiczne przejścia Rybnikowa, agitującego ciemną, nie przygotowaną do ruchu wyzwolenieckiego wieś.

Oporna rozbudowaniu dialogów okazała się warstwa słowna, ponieważ większość myśli wypowiedzianych przez postacie powieści w roku 1906, myśli wówczas żarliwie postulatycznych, jest dziś ABC obywatela państwa socjalistycznego, czyli utraciło poniekąd wymowę emocjonalną. Siłą rzeczy tedy dialogi sceniczne stały się lapidarne, szczerkowe, zredukowane tu i ów-

SOCJALISTYCZNA I WIELONARODOWA

Dokończenie ze str. 1

dem na rosyjski ustnego eposu bohaterstwa Kirgizów, liczącego milion strof utworu „Manas”. W „Manasie” naród kirgiski zawarł swą filozofię życia, pojęcia o pięknie i dobru.

W tym, że współczesny pisarz, piszący po rosyjsku Kirgiz, sięga do źródeł kultury swojego małego narodu, chce w nich odnaleźć te elementy, które wzbogacają ogólną socjalistyczną kulturę całego narodu radzieckiego — jest coś, co mówi nam więcej o międzynarodowej istocie współczesnej kultury radzieckiej, niż liczby i zestawienia. Podobnie jak wymowna jest wiadomość, że w Majkopie ukazał się właśnie, poświęcony 50-leciu utworzenia ZSRR, siódmy i ostatni tom bohaterstwa eposu Adygejszczyków pod nazwą „Narty”. Zebrał i wydał tekst współczesny poeta i literaturoznawca, Asker Gadagatlia...

Program rewolucji kulturalnej był nieodłączną częścią programu budownictwa ustroju socjalistycznego, opracowanego przez Lenina i partię bolszewików. Lenin wskazywał od początku na konieczność inwestowania w człowieka, stwarzania ludziom pracy możliwości i dostępu do oświaty, nauki, kultury. Warto w tym miejscu przypomnieć, że ponad 70

dzie do informacji podtrzymujących tok akcji.

Wrażenie schematyzmu, które stąd powstaje, potęgowała kameralizacja przedstawienia w warunkach dzisiejszej konwencji dekoracji syntetycznej.

Stanisław Wieszczycki, doświadczony człowiek teatru, zrobił wszystko, co od niego zależało, by wcielić w swój spektakl naczelną myśl Gorkiego o nieodzowności walki rewolucyjnej dla przeobrażenia życia człowieka. I niewątpliwie myślał ta dochodzi do widza mimo to, że z punktu widzenia artystycznego — adaptacji, a zatem spektaklowi, jakby brakowało spójności. Bo i szczególnie niełatwe było tu rozwiązanie problemu czasu. Czas na scenie, wiadomo, znosi retrospekcje, toleruje wizje przyszłościowe, natomiast surowo wymaga przestrzegania pewnego rytmu posuwania naprzód działań scenicznych. W lubelskim spektaklu „Matki” owo prawo czasu scenicznego dało o sobie znać dość drastycznie np. w przejściu od sceny wyruszenia na pochód pierwszomajowy do sceny dramatycznego z niego powrotu Matki, acz sama skrótowna wizja złamanego sztanbaru była wstrząsającą metaforą klęski. Może jednak miałaby wyraz jeszcze większy, gdyby ją przygotowało dłuższe zaciemnienie wypełnione w należyty stopniu dynamiką efektów akustycznych i pasjonujących śpiewów.

Bez wątplenia należy zaliczyć na dobro adaptatora zasadniczy pomysł prezentacji wydarzeń jako wspomnienia matki ujętego na początku i na końcu w „klamrę” skrótownej rozprawy sądowej. Sceny w domniemanym sądzie, wyrok ogłoszony przez megafon i finalne rozrzućcie ulotek na widowni, poza tym sceny w więzieniu, też domniemanym — noszą typowe znamiona nowoczesności. W odróżnieniu od tych passusów, sceny w mieszkaniu Matki i Pawła (a jest ich większość) mają cechy naturalizmu, zresztą, jak wynikałoby z poprzednich moich uwag — raczej zdawkowego.

Niezależnie od wymienionych tu mankamentów, jest w spektaklu Stanisława Wieszczyckiego niejeden moment głęboko przejmujący. Wieszczycki dał się poznać Lublinowi jako reżyser utalentowany i przyjazny aktorom — już w r. 1962/63, kiedy pracował na scenie Teatru Osterwy nad „Inkarnem” Kazimierza Brandysa, nad „Moral-

Z walk o godność człowieka

Maria Bechcyc-Rudnicka



Maksym Gorki — „Matka”, Maria Szczechówna (Matka) i Zbigniew Górski (Paweł) Fot. CAP

nością pani Duńskiej”, a przede wszystkim nad „Wygnańcami” Joyce’a. Obecnie również potrafił znaleźć wspólny język z aktorami. Łącznym wysiłkiem został więc stworzony szereg pełnokrwistych postaci. Ze wszech miar szczęśliwą decyzją było obsadzenie w roli Matki — Marii Szczechówny. Tu talent artystki w pełni zabłysnął — jeżeli wolno użyć takiego słowa, gdy mowa o postaci kobiety, której „dusza strachem obrosła”. Podobną mi się sposobem, w jaki Szczechówna ukazuje narastanie świadomości rewolucyjnej Pelagii poprzez miłość do syna i zrozumienie jego dążeń. Jest w tym dużo pięknej artystycznej dyskrekcji, stroniącej od ostentacyjnego patosu, który w warunkach omówionego wyżej skrótownego czasu scenicznego razilby gwałtownością.

Zbigniew Górski, oceniony już przez publiczność lubelską wysoko w kilku rolach pierwszoplanowych, stworzył żywą postać Pawła Własowa. Nie jest to wprawdzie „złoty człowiek” z powieści Gorkiego, właściwie dopiero końcowe przemówienie w sądzie pozwala uwierzyć, że ów Paweł prowadzi grupie robotników-rewolucjonistów. Ale możliwe, że postać stworzona przez autora „Matki” w latach 1906—1907, autentyczna w swym gorącym prozelityzmie socjalistycznym, dla dzisiejszego widza traciłaby nieco doktrynerstwem. Tedy przyjmijmy bez pedantycznych zastrzeżeń tego „wyciszonego” Pawła, w wersji reżysera i naszego aktora.

Zgodny z wolą Gorkiego kierunek przemiany Ukraińca Nachodki, wyraźnie zaakcentował Marian

Drozdowski w dyskusji o nieuniknionych, choć bolesnych, aktach likwidacji sprzedawczyków niebezpiecznych dla sprawy rewolucji. Łagodny męczyciel, romantyk, akceptuje w tym miejscu męską postawę ideową.

Witold Zarychta, jako zrewoltowany chłop, podążający własnymi drogami do uświadomienia ludu wiejskiego, prezentował postać ciekawą, aczkolwiek adaptacja pozbawiła go głównych atriów, skoro sceny na wsi zostały pominięte. Z kolei w wykonaniu Macieja Polaskiego całkiem wiarogodna wydaje się metamorfoza rogącej duszy, Wiesowszczykowa, który wyzbywa się, pod wpływem Pawła i jego grupy nieufności do całego świata.

Jak zawsze, utrafił we właściwy ton Stanisław Olejarnik, grając tym razem szlachetnego inteligenta-rewolucjonistę, Mikołaja Iwanowicza. Widz rad by widział tę postać dłużej na scenie. Bardzo precyzyjnie gra Piotr Wysocki pozornie cywilizowanego a podstępnie oficera żandarmerii. Sceny rewizji są majstersztykiem. Woźny czy też nadzorca więzienny Romana Kruczkowskiego jest dowodem na to, jak dużo można zrobić w małej roli. Aktor wnosi trochę szerszego komizmu do scen więziennych, nie wchodząc wszakże w kolizję z ich wzruszającym nastrojem. W całkiem nowym aspekcie ukazał się talent Witolda Lisowskiego, grającego żalobnie swojskiego szpiega Isaja. Sympatię budził młodociany, domorosły poeta Fiedia (Sylwester Woroniecki), który przemknął parokrotnie przez scenę kompensując miłym uśmiechem niedobory tekstu. Nowy w naszym teatrze aktor Waldemar Starczyński zrobił charakterystycznie epizod Efima, potrzebny do relacji o losach agitatora wiejskiego Rybina.

Nie pamiętam, przyznając się, jaki jest w powieści Jegor. Talent Pawła Nowisza przyszedł mi z pomocą, by zaakcentować obecność postaci żartobliwym poskromieniem doktrynerstwa. Komplementy należą się też Marii Kaczkowskiej za handlarke Korsunową. Postać Saszeńki (Urszula Rydzewska) została ulepiona, powiedziałabym, „z gliny” — innej postaci kobiecej — nieobecnej w inscenizacji Nataszy. Zresztą skrótowność raczej zwyczajnie pozbawiła ją oblicza. Zapowiedziana programem Ludmiła wcale nie ukazała się na scenie. Prawdę mówiąc, nie zauważyłam, czym zatrudniono w akcji Sizowa (Ryszard Palczyński), a o Piotrze Suchorze, niedawno świetnym Rodrygu z „Otella”, krał wśród widzów dowcip, że trafił w „Matce” na lawę oskarżonych, choć, dalszob, ani słowem nie zawinił.

Sukcesy scenograficzne Bolesława Izdebskiego na razie in spe.

Zgódźmy się przecie, iż ostatecznie nie istnieją idealne adaptacje dzieł powieściowych. Cieszy natomiast bardzo fakt, że Teatr im. Osterwy dołożył starań, by godnie uczcić pięćdziesiątą rocznicę powstania Państwa Radzieckiego inscenizacją powieści wielkiego pisarza, przypominającej o bohaterstwie walce rewolucjonistów, które nowe pokolenia mas ludowych zawiązują lepsze życie, z czego nie zawsze umiemy zdać sobie właściwie sprawę.

żo uwagi problemom, od których rozwiązania zależy upowszechnianie i rozwój kultury, takim jak baza materialna kultury, rozbudowa szerokiej sieci instytucji kulturalnych, kształcenie wysoko wykwalifikowanych kadr działaczy.

Odwolałam się znowu do liczb podanych przez minister Furcewa. Obecnie w ZSRR istnieje ponad 134 tysiące klubów, domów i pałaców kultury, 1144 muzea, 39 dużych wytwórni filmowych, 360 tys. bibliotek dysponujących ponad 3 miliardami książek i czasopism. Imponuje sieć radzieckich teatrów dramatycznych i muzycznych. Jest ich ogółem 553 i wystawiają one spektakle w 42 językach narodów ZSRR. W Uzbekistanie działa 25 teatrów, w Kazachstanie 24, w Kirgizji 6, w Tadżykistanie 11, w Turkmenii 6.

Bezprecedensowym zjawiskiem w skali światowej jest masowość radzieckiego ruchu amatorskiego. W chórach, zespołach dramatycznych, tanecznych, w kółkach literackich, plastycznych itd. uczestniczy 13 milionów dorosłych obywateli ZSRR i 10 milionów młodzieży szkolnej. Stanowi to jedną dziesiątą całej ludności kraju. Ruch amatorski jest trwałym elementem radzieckiej rzeczywistości kulturalnej: jest on możliwy tylko w społeczeństwie socjalistycznym, będąc formą czynnego uczestnictwa milionów ludzi w odbiorze i tworzeniu wartości kulturalnych.

Jednym z zasadniczych osiągnięć kultury w ZSRR jest wychowanie wielonarodowej kadry działaczy kultury i sztuki. W Związku Radzieckim został stworzony, konsekwentnie powiązany ze sobą w różnych ogniwach, system szkolnictwa artystycznego. Składa się on z 7 tys. podstawowych szkół muzycznych i plastycznych, 445 szkół średnich oraz 63 wyższych uczelni artystycznych.

Sprawy kultury zajmowały ważne miejsce na Zjeździe KPZR. Wśród głównych zadań wysuniętych przez Zjazd znalazło się dalsze wyrówny-

wanie poziomu kulturalnego miasta i wsi. W związku z tym w dziewiętej pięciolatce postanowiono zbudować około 600 dużych powiatowych domów kultury.

O tym, że tempo rozwoju materialnej bazy kultury nie słabnie świadczy fakt, iż sieć klubów w ZSRR zwiększyła się ogółem o 13 tys., a bibliotek o 11,2 tysiący. Powstała 132 nowe muzea i 49 teatrów.

W sposób radykalny zmieniła się w ciągu 50 lat mapa kulturalna kraju. Wszystkie republiki związkowe, autonomiczne, okręgi narodowościowe dysponują dziś własną inteligencją twórczą. Wystarczy tu powiedzieć, że w ZSRR wydaje się dziś książki pisarzy radzieckich w 75 językach.

W Związku Radzieckim uformowała się nowa historyczna wspólnota, naród radziecki — składający się z wielu narodów i narodowości. Internationalizm jest więc cechę wyróżniającą obywateli radzieckich i jego formowanie należy do głównych zadań socjalistycznej kultury.

Równocześnie sam proces rozwoju poszczególnych kultur narodowych w ZSRR dokonuje się w ciągłym związku z procesem ich wzajemnego zbliżania. Dzięki politycznej, socjalnej, ekonomicznej i ideologicznej wspólnocie narodów radzieckich, to w kulturze, co nosi znamie talentu, oryginalności, niezależnie od tego, gdzie powstaje, staje się własnością wszystkich narodów i narodowości ZSRR. Wzajemny wpływ socjalistycznych kultur, ich rozwój stanowił obiektywny rezultat zjednoczenia się narodów we wspólnym państwie.

Właśnie to miał na myśli znakomity pisarz awarski, który na cały świat rozlał swój ojczysty Dagestan. Rasul Gamzatow, gdy napisał rozmyślając o 50-leciu ZSRR: jeśli udało się mi coś osiągnąć na drodze, którą obrałem, zawdzięczam to stofojemu Dagestanowi, wielkiej kulturze rosyjskiej, wielkiej rodzinie narodów naszego kraju...

Zdzisław Romanowski

TO był straszny sen. Amerykaniec wyciągał po nią rozczapierzone palce, usiłując wepchnąć do „czarciej studni”. „Pójdiesz do Małego”, wołał kłapiąc piszczałkami, „tam twoje miejsce. Pójdiesz do Małego” Agnieszka czuje ból. W sąsiednim pokoju słyszy kroki matki. Stara kobieta krąży w nim od lat — jak w klatce, w której zamknięta się dobrowolnie po wypadku z Małym. Świt uderza w szyby. Tadeusz nie rozumie jej bezsenności. „Potrzebne ci jest sanatorium albo wyjazd na wieś” mówi, „to staje się niezdolność: ty i matka...” Agnieszka wie, że na to nie ma żadnej medycyny. Ich męka skończyła się dawno, tylko ten Mały... Ból potęguje się. Przez szyby sączy się pierwszy brząsk świtu. Jak to się wszystko zaczęło?

Kopali metr po metrze — ziemia była twarda, kleista, opornie poddająca się szpadiom. Po kilku metrach — pomocnik krzyknął, że go coś dusi i zaczął wołać o pomoc. Majster, chłop nie ulomek, sam nie mógł go wyciągnąć. Pobiegł do wsi. „Ludzie, ratujcie!” Zlecieli się chłopcy. W studni — jęk i charczenie. Ciemno. Majster spuścił się na sznurze w smrodliwą czeluść. „Ciągnąć!” Trzech ich ciągnęło. Czy majstrowi nawaliło serce — kto się dowi? — dość, że nagle sznur podleciał do góry. Znowu jęki, wołanie o pomoc. Kto następny? Nie ma śmiałości! Po straż pożarną do miasta — siedem kilometrów! A tu ginie dwóch ludzi: młody dwudziestoletni chłopak, i ojciec pięciorga dzieci. „Ludzie, przecież można jakoś ratować, studnia nie głęboka, może by się uwiązało...”

Słychać było syk, jakby pary z czajnika. „Gaz!” zawołał Mały, ale zaraz go zagłuszone. „Czarcia studnia, nie innego, tylko czarcia studnia... Nie widzicie dymu? To z piekła, przestańcie kopać ludzi!” Kobiety żegnały się, odciągały synów i mężów od studziennego otworu, który pochłonął dwie żywe istoty. „Czarcia studnia, nie podchodźcie, dzieci!” wołały matki. Zbiegła się cała wieś. Sotys pchnął konnego po straż pożarną i policję. Matka lamentowała, bo to było na ich polu, w ich studni. Agnieszka uczyła się sznura i chciała koniecznie na dół, ale Mały chwycił ją za włosy i siłą odciągnął, choć krzyczała i bila na oślep.

Najszybciej przybył ksiądz. Marcin, zwany „amerykańcem”, szedł za ojcem wieloletnim, dźwiagał krzyż i intonował „Serdeczna Matko”. Ktoś wołał o drabinę, ale był taki rogardiasz, że wszyscy potracili głowy. Mały zaczął obwiązywać się sznurem. Matka dopadła go i uniosła jak małego chłopca. Proboszcz rozejrzał się po przerażonych chłopach, pokropił otwór i jął odmawiać słowa modlitwy. Rzucili się wszyscy na kolana i zamiast ratować ofiary wypadku, powtarzali za księdzem „apage satanas”. Nic dziwnego, że gdy przybyła straż pożarna, nastrój był taki, iż strażacy padli na kłęczki i nikt, nawet przodownik policji, który przyjechał z nimi, nie miał odwagi opuścić się w przekłętą czeluść. W ogólnym harmidrze każdy robił swoje, potem wszyscy wstali i ze śpiewem „Kto się w opiekę” rozeszli się do domów. Dopiero po kilku dniach wydobyto ofiary — na interwencję kierownika szkoły.

Agnieszka pamięta tę dziwną procesję. „Czarcia studnia” obrastała w złą legendę. Nikt wtedy nie zastanawiał się, jak o wypadku dowiedział się ksiądz i skąd się wziął na czele procesji „amerykaniec”, którego wśród lamentujących nie było. A może był, kto o tym myślał w ten dzień przypominający dzień sądu ostatecznego? Toteż gdy znaleźli Małego z tymi wotami... Agnieszka usiłuje odpuścić wspomnienia, ale pamięć jest podobna do ruchomych piasków — pozostaje tylko poddanie się jej woli.

Mały siedział na przypiecku i z apetytem zjadał kiszone ogórki. Matka z Agnieszką wyzwały bieliznę.

„Pomóż mi”, warknęła Agnieszka, „nie widzisz, że mama ledwie stoi na nogach?” „To nie zjadę dla mnie”. Mały przelknął apel o pomoc. „Ty ulaniku”, złościła się Agnieszka, „a jedzenie to zjadę dla ciebie odpowiednio? Lepiej byś sobie roboty poszukał, bo pożyjemy z głodu”. „Agnieszka!” usiłowała perswadować matka, „dzisiaj nie latwo o pracę...”. „Ten truteń wcale się nie wstydzisz, że na niego pracujemy!” wybuchnęła Agnieszka. „Bezrobocie wszędzie”, nie miała zaoponowała matka. „Dla takiego patrioty nie znajdziesz się praca?” Agnieszka była beztłusna. „Nie dokuczaj” mu”, oświadczyła matka, „po tych ranach przyjdzie do siebie nie może...”

Mały milczał. Aż go rozrywało ze złości, ale milczał. Jest bezrobotny, to prawda. Walczył, był ranny, też był bohatą. Należałoby mu się jakaś rekompensata za wszystkie cierpienia i powiewierkę. Cóż poradzi, zbywają go. Od kilku lat zbywają obietnicami.

Matka podniosła znowu balii zmęczone, wyblakłe oczy i popatrzyła na Małego. Może ksiądz by coś pomógł? Tak dłużej być nie może. „Szybko o twoich zasługach zapomni — tylko zdrowie stracił. O biednych to ani Bóg, ani Ojczyzna nie pamięta”. „Mama chce, żeby ulanik pracował? Szybciej pozdychamy z głodu. On się na Piłsudskiego ogląda! Zapomniał, że z gnojkami panowie się nie zadają. I legiony mu nie pomogą”. Agnieszka z zawziętością wykręcała bieliznę.

Mały zakrzucił się, wstał, chciał coś powiedzieć, wreszcie wrócił pod piec i usiadł na zydełku. „Nie będę się kłócił z anarchistką! Niech dalej lata z kryminalistami, to dołata się Berezę”. Usiłował mówić z godnością. „To nie kryminaliści”, zaoponowała Agnieszka, „to polityczni”. „Przeciw Polsce są!” krzyknął ze złością Mały. „Przeciw jakiej Polsce?” zapytała Agnieszka. „Głodni nie mają ojczyzny. Najpierw daj chleb, a potem będziesz mówił o patriotyzmie!”

Matka zanurzyła ręce w mydlinach. Mały wstał; groźny, z wypiekami na twarzy. „Przez takich jak ty wywrotowców są strajki i mnie do roboty nie przyjęli. Gdybyś nie ty, ja bym pracował w gminie. Ale jeszcze zobaczysz! Polityki ci się zachelewa! Nadajesz się najwyżej do łózka dla takich typów jak Leon!”

Agnieszka przerwała pranie. Zakrzuciła się i płacząc wybiegła z kuchni.

Matka z wyrzutem spojrziała na Małego. Siedział żalony, wynędzniały. Wyglądał na szesnastoletniego chłopca, choć włos srebrzył mu się obficie i zmarszczki porwały twarz. Wiedział, że był nędzarzem, ale nie

mógł zapomnieć o wielkomocarstwowej legendzie: tam zostawił swoją młodzież, zdrową. Wierzył wciąż, że go dostrzeże, że wywłoka z nędzy, że odegra swoją wielką rolę w tej Polsce, za którą szedł dobrowolnie walczyć.

„Krzywdziś Agnieszko, gdyby nie ona, wszyscy poumieralibyśmy z głodu”. Matka mówiła cicho, z wyraźnym żalem. „Po co spiskuje przeciw Polsce!” warknął Mały. „Przeciw jakiej Polsce?” — Ostatnie słowo Mały raczej wyczuł, niż dosłyszał. Zmalał w sobie, skurczył się, poszarzał.

Agnieszka pamięta brata. Wspomnienie o nim wzywało jakąś obsesyjną potrzebę roztrząsania przeszłości. Ostatecznie ten wypadek z Małym, zwłaszcza znalezienie przy nim kościelnych wot, stał się przyczyną ich haniebnej powiewierki. Exodua zaczął się dużo wcześniej, zanim gestapo...

Był rzeczywicie Małym. Natura go upośledziła, choć nie poskąpiła mu zdrowego rozsądku i odwagi. Ale nie miał szczęścia w życiu. Jako osiemnastoletni zaciągnął się do legionów, by bronić Polski. Tej Polski, której wizję ojciec, wnuk powstańca z sześćdziesiątego trzeciego, w legendach mu przekazał. Zresztą sam ojciec zginął na wojnie — nie za Polskę jak sądziła matka — a za cesarza w 1914. Wraz z jego śmiercią wtargnęła bieda. Nawet wody nie mieli, bo od czasu, gdy zdarzył się ów wypadek, nikt na ich działce nie chciał kopać. „Czarcia studnia!” Nosili więc wodę od sąsiada, choć ten krzywym okiem patrzył. „Lachudry”, wołał, „czym wy się mnie odpłacacie?” Ale ponieważ był kumem i z ojcem kiedyś się przyjaźnił, więc jakoś tę wspólnotę wodną tolerował.

CZARCIA STUDNIA

Jan Górec-Rosiński

Mały siedział nad „czarcia studnią” i myślał. Wrócił z ranami, z krzyżem walecznych i czymś tam jeszcze. Odznaczenia przypinał zawsze 3 maja i 11 listopada jadąc kobyką na parady byłych legionistów, w mundurze, z szabelką u boku. Te parady były jedyną więzią dawnych towarzyszy broni. Niewiele łączyło biednego wyrobnika z rotmistrzem N., właścicielem majątku, albo z komendantem policji, wójtem i innymi notablami. Tylko w tym dniu byli sobie równymi, w inne dni roku nie liczył się, nie istniał dla legiōnowej świąty.

Stał nad czeluścią nigdy nie wykopanej studni. Czy rzeczywiście nie ma sposobu na jej ujarznienie? Ha, gdyby były pieniądze! Westchnął, opuścił nogi na krawędź. Trzeba jakoś żyć. Już nie chodzi o Agnieszkę, to sobie zawsze poradzi, jest młoda, silna, lecz o matkę. Najłatwiej byłoby skończyć tę podłą egzystencję. „Czarcia studnia” skryłaby jego tajemnicę na zawsze.

Wyczuł, że nogi uderzają w pustkę. Sądził, że to złudzenie. Opuścił się niżej, trzymając się krzewów; pustka! Albo ziemia obsunęła się od wewnątrz, albo... Położył się na brzuchu, sięgnął ręką. Wyczuł wilgotne cegły, przypominające obramowanie muru. Ki diabeł? Zaczął nadsłuchiwać. Ale syczenia nie było. Widać źle przyczaiło się. Pobiegł do domu. Wziął lejce, lopatę, naftową latarnię. Zaczął kopać.

Ujrzał loch, bardzo stary, wyłożony cegłą, spleśniały, popękany od wilgoci. Loch w czystym polu? Przy „czarciej studni”? Umocował lejce do drzewa, przeżegnał się i zaczął wolno opuszczać się w dół.

Mały nie przyszedł na obiad. Nie było go na kolację. Nazajutrz matka nerwowo odgarniała włosy przy balii raz po raz zerkając w okno. „To twoja wina”, powtarzała, „co on winien, że nie może znaleźć pracy? Może trzeba zawiadomić policję?”

Agnieszka jest zła, ale milczy. Matka jest matką, ale przecież nie można pozwolić, aby dorosły człowiek żył z ich pracy. Ledwie koniec z końcem wiąza; na obiad lebiada, na kolację zupa z pokrzyw, na śniadania lura śledziowa za grosze kupiona u Zydka... „Mogłaś iść za tego amerykańka, przynajmniej błędy byś nie cierpiała”. Agnieszka wstrząsa się. Ostatecznie Mały mógłby coś wymyślić, ożenić się, wyjechać, ale wciąż marzą mu się epolety. „Mamie się zdaje, że amerykańiec byłby dla nas wyzwoleniem? W nim jest coś z szczerą. Lepiej niech mama namówi naszego legionistę do jakiejś roboty, bo niedługo trociny będziemy jedli!”

Dużymi i spracowanymi dłońmi ściera łzy. „Nie można żyć”, mówi, „legendą. On tylko o tych swoich legionach... Nie trzeba ich potępiać, walczyli przecież o Polskę. To nie jego wina, że nie ma pracy. A za amerykańka mogłabyś pójść, przywoiwszy niż Leon!”. Agnieszka coś mamroce pod nosem. Nie zamierza tłumaczyć matce powodów, dla których odrzuciła złoty byłego emigranta. Leon? Nie istnieje. Przekłuta bańka mydłana, w dodatku cuchnąca... Agnieszka chciałaby z kimś porozmawiać o polityce, na przykład z bratem. Ale czy to z nim można? Sama nie bardzo się w tym politycznym kokoczkowku wyznaje. Ozon, Bebewuer, Chienopialist, chadecja, mieczyki, ludowcy, PPS... Nacjonalści zabili ministra, Sławoj każe malować ustępy, aby było ładnie, chleba jak nie było, tak nie ma. Komunisci w podziemiu, a ten Mały nic, tylko czeka na swoją wielki dzień. Agnieszka sama cudem uniknęła kryminalu, bo zdarzyło się jej związać z czerwonymi przez Leona. Ale Leon okazał się kanalia. Dlaczego jej wtedy nie wyspał? Miał skrupuły, nadzieję wskrzeszenia dawnego uczucia?

Był to okres burzliwy. Bardzo burzliwy. Robotnicy wychodzili na ulicę, a biedota wiejska lżyła sanację. Agnieszka w latach takiego przypływu społecznego rozkołysania poznała Leona. Nikt nie wiedział, że pracuje w policji i gdy wszystkich wzięli, sztydo wyłaziło z worka, ale było już za późno. Swinia! Prowokator! Wydał towarzyszy i paradyje z pistoletem — granatowy padalec!

„Agnieszka”, skomlał, a oczka mu latały niczym u szczerą, „gdyby ci ręce wzięli w kowado...”. „Odejdź, kanallo! Wynoś się z mego domu!” „Agnieszko! Przecież cię kocham...”. „Milcz, nie dosyć, że wydałeś wszystkich, jeszcze bawisz się w sentymentalnego rycerza? Zapłać ci kiedyś za wszystko, ziemie bądźziesz gryzł, lobuzie!” „Nie unoś się Agnieszko, nie znasz metod policji... Może miałem gnąć w kryminala? Masz szczęście, że ciebie to ominęło...”

„Ty kanallo, ty kanallo!” mówi Agnieszka i wychodzi z domu. Mały kręci się nerwowo, zapala papierosa, wychodzi. Matka nie mówi nic. Pochyla się nad piecem, zgarnia węgle do żelazka. „Agnieszka pewnie myśli, że tu przyjdą Sowietci, co?” Leon zapala „mewę”. Matka milczy. „Raju i tak nie będzie”, mówi agent, „nie rozumiem, co Agnieszka widzi w tych czerwonych? Mogłaby dostać zajęcie w gminie, a i Mały...”. „Niech pan tu nie przychodzi”, odgrywa się matka. „My się nie dogadamy nigdy. Nam nie po drodze...”

Agnieszka czuje wyrzuty sumienia. Minęło tyle lat, a wszystko to wlezie się za nią jak cień. Wtedy była walka o chleb, na sentymenty rodzinne nie starczyło czasu. Mały nie przyszedł do domu na noc? Co wielkiego? Gdzie zapil się, zgrał, lub może wreszcie

Agnieszka rozsunała firankę. Była pewna, że tak postąpił jej brat. Ale pamięć ludzka jest zjawiskiem strasznym. W pamięci bliższych i znajomych Mały pozostał na zawsze ukaranym świętokradką. Znalazł go wkrótce potem, gdy „amerykaniec” jął rozpowiadać, że zabił diabła. Przysięgał, że nie zmyśla i na dowód pokazywał lejce, które rzekomo odebrał czartowi. Gdy Agnieszka zobaczyła te lejce... „Czemu nie śpisz?”, pyta Tadeusz. „Że się czujesz?” Tadeusz jest dobrym przyjacielem, dobrym ojcem rodziny. Poznał się w obozie i razem wywędrowali po swojej wolności. „Trzeba budzić dzieci”, odpowiada Agnieszka, „czas do szkoły. Matka nie śpi całym nocami, może by ją do sanatorium?” Tadeusz coś pomrukuje, wstaje i idzie do łazienki. Agnieszka przegląda się w lustrze. Boże, ile zmarszczek! Czuję się stara, w dodatku — ostatnia z rodziny... Starsza od niej jest tylko matka. Ale matka nie jest z tego świata... Całymi dniami robi na drutach... skarpetki dla Małego. Przegląda jego mundur, czapkę, szablę... Nigdy nie mówi o Małym. Czy wie, co się wtedy stało?

Jest wschód słońca. Ciepło. Agnieszka otwiera okno. Szyby są wilgotne od rosy. Wtedy też była wiosna, zbliżał się przedwiośnie i nie było co do gęby włożyć. Wszystko zaczęło się od głodu. Czekali na Małego jeden dzień, drugi, trzeci. Agnieszka wychyla się przez okno. Trawa w ogródku jest pełna wilgoci. Skopana ziemia pachnie świeżością. Trzeba będzie zasadzić kwiaty. Agnieszka cofa się, patrzy na śpiące dzieci. Tramwaj naladowany ludźmi przecina ciszę. Kroki w sąsiednim pokoju. Matka nie śpi. Od tego czasu, gdy zobaczyła u „amerykańca” te lejce — nie może przyjść do siebie. Małego jej nie pokazali: dostała szoku, była nieprzytomna.

Agnieszka wdziewa szlafrok, pantofle, wychodzi do ogródka. Chłodno. Takim rankiem wyciągnęła Małego. Wyobraźnia Agnieszki pracuje gorączkowo. Czuję się winna, że wtedy... Przez trzydzieści lat nie może zrozumieć ani motywów postępków brata, ani też absurdalnego kroku Marcina.

„Amerykaniec” bardzo się ucieszył lejcami. Już zamierzał odwiązać je od drzewa i wyciągnąć z „czarciej studni” mrucząc „ki diabeł je tam włożył”, gdy usłyszał jakies chrobotanie u wejścia studni. Sądził, że to przywidzenie. Przeżegnał się, chciał uciekać, gdy zobaczył rękę. Czarna, pokrwawioną rękę — jedną, potem drugą. Strach przykuł go do miejsca. Ale gdy ujrzał zmierzwiłone włosy i wysuwającą się z otworu głowę — ucałił instynktownie kij. Niechybnie czart. Ustąpił sapanie, pojękiwanie. Przerazony do głębi zamachnął się i desperacko, z całych sił, wyrzucił w kudłaty czerep gramolącego się stworu.

Mały, nawet nie jęknawszy, osunął się w czarcia studnię. Marcin stał długo w miejscu, potem ostrożnie, bardzo ostrożnie pochylił się nad przekłętym otworem. „Zgini, przepadnij”. Spłunął, przeżegnał się, odwiązał lejce i oglądając się trwożliwie szybko pokużył do domu.

Ta wersja wypadku była niepodważalna, ogólnie przyjęta. Agnieszka kryje twarz w dłoniach. Nikt nigdy się nie dowi, co zdarzyło się naprawdę w lochu, jaka tragedia tam się rozegrała. „Amerykaniec” nie zdążył wszystkiego powiedzieć... Znowu tramwaj, wołanie Tadeusza. Spiesz do kuchni. Słyszysz chrząkanie męża w łazience. Nastawia imbryk. „Mamo”, woła Andrzej, „wyłóż mi czystą koszulę”. Agnieszka biegnie do szafy. Nie bardzo wie po co Andrzejowi czysta koszula wtedy, gdy idzie na cementarz. „Mamusi”, woła Elżbieta, „gdzieś mi się zapodział koinierzyk od bluzki, spóźnię się na wykład”. „Agnieszko”, odzywa się Tadeusz, „czy nalałaś mi kawy do termosu?”

Cisza, wyszli wszyscy. Agnieszka decyduje się. „Mamo, może byś pojechała do sanatorium? Tadeusz mówił, że sprawa załatwiona”. „Tak, tak”, szeptała stara kobieta, „a czy Mały przyjdzie na obiad?” „Wiesz, mam...” Agnieszka zacina się. „Przyjdzie” mówi, „na pewno przyjdzie. Może się coś stało?” Matka jest zalekniiona, pokorna. „Nie, mam, jemu jest już dobrze, on nie ma czasu dla nas. Wędruje po świecie, nareszcie znalazł swoje miejsce”, mówi Agnieszka, choć wie, że to kłamstwo. „Nakryj i dla niego”, mówi matka, „ja tymczasem wyczyszczę jego mundur...”

Agnieszka czuje pod powiekami łzy. Tak już trwa od lat. Wraca do kuchni. Siny płomyk gazu skwierczy w kuchence. Wróć dzieci, Tadeusz, trzeba przygotować obiad. Miejsce Małego przy stole jest puste. Matka wie, że przyjdzie. Co dzień, od owego wypad-

Dokończenie na str. 10



Rys. E. Ingłot

Niesalonowy plakat radziecki

WMUZEUM historycznym w Bramie Krakowskiej w Lublinie pokazano 50 plakatów radzieckich, w większości powstałych w latach 1961—1970; zaledwie kilka pochodzi z wcześniejszego okresu, tylko jeden, datowany na rok 1931, zachęca do historycznej refleksji, która, dotycząc czasów wielkiej świętości plastyki rewolucyjnej, przekracza margines, zakreślony przez wagę liczącą pozostałych druków.

Wszystkie plakaty są skromne, niebogate pod względem technicznym, ani im stawiać do konkurencji z fluoryzującymi, ciężkimi we

frędzle, plastikowymi i trójwymiarowymi plachtami, znanymi choćby z międzynarodowych biennale plakatów w Warszawie. Rozmiary mają niewielkie, mogłyby po dwa — cztery, może nawet więcej razy zmieścić się w ramach czołowych dziś egzemplarzy gantunku, ich kolory są ciche, mało ich zresztą w obrębie jednego plakatu, zdaje się, że autorzy więcej ufają wymowie ogólnie znanych symboli i zwyciężym hasłom, niż zmysłowemu działaniu wymakowanej barwy.

Bo to są plakaty, środki agitacji związane z ulicą, a nie z salonem wystawowym, bo to są argumenty za czymś, lub przeciwko czemuś, a nie poligraficzne dzieła o ambicjach niemal wyłącznie artystycznych, tak dziś w świecie popularne, że trafiły na koniec do muzeów sztuki. Rozbudowane kolekcje plakatów spotkać można w Museum of Modern Art w Nowym Jorku, w leningradzkim Ermitażu, w Kunstgewerbemuseum w Zurichu, w amsterdamskim Stedelijk Museum. Jak ktoś powiedział, z ulicy plakat awansował do salonu. Ale czy można określić jako awans przesadzenie drzewa przydrożnego do oranżerii?

Jan Lenica zauważył kiedyś, że patrząc na plakat ocenia się „najczęściej jego malarstwo, rzadko jego literaturę”. Patrząc na plakat radziecki dostrzega się przede wszystkim informację, jego literacki symbol oparty krótkim tekstem, lub odczytuje historię w obrazkach, którą przedstawiła — jakby wspomniąc dawne, porwolucyjne czasy, kiedy to treść plakatu budowała odpowiednio skomponowane ilustracje. W tamtych latach

najwięcej takich właśnie plakatów wyszło z rąk pracowników Rosyjskiej Telegraficznej Agencji — ROSTA.

Jednym z nich był Michaił Czeremnych, współautor „Historii Rosji w obrazkach”, który wpadł na pomysł wywiezienia „Gazety ściennej ROSTA” w witrynach apustosowanych sklepów moskiewskich, co zostało z miejsca zaprzobowane przez mieszkańców stolicy. Gromadząc się koło ręcznie wymalowanej gazety-plakatu, zaczęli Czeremnycha do uważnego przypinania otekającego tuszem papieru pokrzykując: „bardziej w lewo, z prawej podnieść, z lewej opuścić”. Grafik ten wspomina, że największy ruch w plakatowym interesie „ROSTA” zaczął się z chwilą przyjazdu do agencji Majakowskiego, który zaczął układać wierszowane podpisy pod obrazki, uznając zresztą za działanie za czystej wody twórczość. Jak m.in. zanotował jeden z czołowych konstruktywistów rosyjskich, Aleksander Rodczenko, popularny slogan reklamowy „Jeśli chodzi o mnie, to tylko w Mosselpromie”, sięgał w oczach Majakowskiego „poezji najwyższej jakości”.

Autor „Obłoku w spodniach” potrafił w ciągu jednego dnia ułożyć teksty do 80 różnych tematów, wspomagany od czasu do czasu przez Lili Brik. Po pewnym czasie, w latach 1919—1920, plakaty utrzymywane w stylu „ROSTA” — najczęściej kilka lakonicznych rysunków z dwuwierszem pod każdym z nich — trafiły do innych miast, na prowincję, i choć często służyły do skręcania papierosów, zrywane kawałkami, to przecież na tyle zadomowiły się w miejscach publicznych, jak

dworce kolejowe, i na frontach wojny domowej, że ludzie wprost oczekiwali na pojawienie się mobilizujących do walki lub satyrycznych prostokątów papieru.

Nad plakatami „ROSTA” pracował m.in. Iwan Malutin, świetny scenograf i karykaturzysta, którego pierwsze dzieło nosiło podpis Majakowskiego. Z agencją związany był również autor słynnego plakatu „Car, pop i kulak”, Pet, oraz Dmitrij Moor, współtwórca radzieckiego plakatu społeczno-politycznego. Z jego prac, zbudowanych z form syntetycznych, obciążonych wyrazistym konturem, poszukiwanych dziś zresztą przez kolekcjonerów europejskich i amerykańskich, największą karierę zrobił plakat „Pomogli!”, pochodzący z trudnych pod względem ekonomicznym lat Związku Radzieckiego, kiedy to chleb był niemal na wagę złota.

Dzisiejszy plakat radziecki, podobnie jak i światowy, nie ma już tej siły agitacyjnej co kiedyś, w innych warunkach społeczno-cywilizacyjnych. W warunkach, kiedy kilkadziesiąt procent narodu nie umiało pisać i czytać, a film i fotografia, najskuteczniejsze środki masowej informacji i propagandy, były ostatecznie w pozycjach, operujący obrazem plakat miał szerokie pole działania, obciążające jego skuteczność. Współczesny plakat jest raczej dokumentem wydarzeń. W dalszym jednak ciągu zwraca się w stronę przechodnia, z zasady omijając salony, co nie znaczy, że do nich nie zagląda — częściej jednak z przypadku, niż z przekonania.

IJK

ZEGAR

1. Łazili jak zwykle. Gdyby były kolorowe, można by powiedzieć, że rozkwitała nimi ściana. Polewałem je niebieskim denaturatem. Wtedy na moment zniknęły. Choć niektóre z nich przyzwyczały się do denaturatu, a nawet go polubiły. Poruszały długimi wąsami i spijały niebieski płyn. Potem odmaszerowały do norki, trochę chwilejnie, przebijając cienkimi nóżkami.

2. Mieszkalem samotnie w tym pustym pokoju od kilku miesięcy. Nikt do mnie nie zaglądał. Nie potrzebowałem się zamykać. Jedynie z przyzwyczajenia wypychałem w próchniejącą futrynę skobel od zardzewiałej kłódki i kitowałem go rozmiękłym chlebem. Pokój miał ściany wymalowane na zielono, farba opadała płatami. Z sufitu zwisała żarówka okręcona starą gazetą. W dzień zdejmowałem gazetę, rozkładałem ją i czytałem. Była to rocznicowa gazeta, pełna triumfalnych haseł i wydrukowanych grubą czcionką bilansów. Przestałem ją czytać. Odkąd znalazłem w niej zapieczonego karalucha. Nie wiem, jak się tam dostał.

3. Szybki w kolorze były zakurzone i miały kolor szkła od butelek. Wyglądałem przez okno. Sąsiednie domy, obdrapanie i brudne, nabierały zielonkawego koloru. Widok z okna nie był urozmaicony. Śmietnik, kubki, trzepak, na którym nie trzepano dywanów. Trzepak upodobały sobie dwa czarne koty. W miesiacu marcu nabrali wigoru i wyczyniali na trzepaku wesole harce. Emeryci podglądali koty przez maleńkie teatralne lornetki.

4. Najbardziej absorbował mnie jednak piec, nie karaluchy. Musiałem palić w piecu dla naszego wspólnego dobra: mojego i karaluchów. Nie paliłem węglem, bo niby skąd go brać. Trzeba mieć specjalny przydział. Karteczkę podbitą stempelkami. Nie lubię tej całej biurokracji, więc wynosiłem dechy i płyty pilśniowe z pobliskiej budowy.

5. Podejrzewam, że ta cała historia z zegarem miała miejsce z powodu ciszy, jaka panowała w moim pokoju. Za ścianą nikt nie mieszkał, ludzie dawno się wyprowadzili, bowiem dom przeznaczony był do rozbiórki. Cisza była

tak wielka, że słyszałem szelest nóżek karaluchów. Zamykałem wtedy oczy i wyobrażałem sobie, że przepływa przeze mnie czarna, lśniąca rzeka.

6. A jednego dnia usłyszałem tkanie: tik, tak, tik, tak. Nadstawiłem ucha. Tikało we mnie. Nie serce. Tikał we mnie zegar. Prawdopodobnie ścienny. Niestety, nie wybijał godzin, więc tkanie było w końcu bezużyteczne.

7. Budziłem się w środku nocy i obmacywałem brzuch. Tak, nie było najmniejszej wątpliwości: urodzę zegar. Wyczuwałem jego twarde ścianki. Zastanawiałem się

tylko, w jaki sposób zegar wydobędzie się ze mnie na powierzchnię.

8. Naostrzyłem kuchenny nóż. Przecinałem włosy. Opaliłem nóż nad płomieniem. Denaturat więc przysłał mi się i do celów chirurgicznych. Przeżegnałem brzuch. Tak jak żegnano nożem bochenek chleba dawniej na wsiach przed ukonaniem pierwszej pajdki. Nacierałem skórę.

9. O dziwo, nie ukazała się kropelka krwi i nie czułem bólu. Nóż zagrzytał. Po chwili wydobylem ścienny zegar. Nie był jednak taki duży, jak mi się w pierwszej chwili wy-

dawało. Rana sama się zasklepiła. Do dzisiaj noszę po niej nieznaną bliznę.

10. Zegar był cennym antykiem. Jak się okazało, przedstawiał sobą znaczną wartość materialną. Miał obudowę z mahoni, polacane wskazówki i ciężarki ze srebra. Pod pokrywą była umocowana cenna miniaturka pewnej damy dworu, o której historycy wyrażali się ciepło, aczkolwiek nieco dwuznacznie.

11. Zegar postawił mnie na nogi. Korzystnie go sprzedałem. Chciałem również sprzedać zegarem o nim. Niestety, nikogo nie interesowała legenda. Pokazywałem nawet bliznę na brzuchu (mogę ją i teraz pokazać na życzenie, choćby zaraz), ale twierdzono z uporem, że to ślepa kieszka.

12. Poszedłem nawet do spowiedzi i wyznałem wszystko przed krótkimi konfesjonalem. Ale spowiednie wziął mnie za nieszkodliwego wariata. Tolerowanego przez państwo. Machnąłem więc ręką na legendę i urządziłem się w życiu.

13. Cieszę się teraz poważaniem, ponieważ sam robię pieniądze i ludziom dam zarobić. Musiałem jednak napisać, jak było naprawdę z zegarem. Napisałem więc list i włożyłem go do koperty, nie adresując. Przykleiłem tylko znaczek. List wrzuciłem do skrzynki.

14. Ku mojemu zdziwieniu wrócił do mnie, po trzech miesiącach. Mam go teraz przed sobą. Nikomu nie pokazuje. I tak mi ludzie nie wierzą.



Adam Fiala — jak sam przyznaje — lubi w wolnych chwilach malować olejne widoczki, żeby je potem móc spieniężyć ludziom zainteresowanym. Ale nie to stanowi główne zajęcie Adama Fialy i nie to stanowi jego główne upodobanie. Jest bowiem z zawodu radcą prawnym, a przede wszystkim pisuje opowiadania.

Urodził się 21 października 1940 roku w Lublinie. W roku 1963 ukończył Wydział Prawa na UMCS. „Pozornie nie mam rysów naturalistycznych — powiada. — Prawnik zdawałoby się, solidny spokojny zawód. Ale ja traktuję

go jako przygodę, okazję poznania świata. Wyjeżdżam na aplikację prokuratorską na Wybrzeże, koczowałem w trudnych warunkach jako jedyny w oym czasie aplikant adwokacki na Warmii i Mazurach... Nie odpowiada mi spokojny, zastępowany tryb życia urzędniczo-prawnika”.

Debiutował opowiadaniem w „Kamieniu” (rok 1961 w dodatku „Profil”). Ponadto publikował w „Tygodniku Kulturalnym”, „Za i Przeciw”, „Głosie Młodzieży”, „Zerzewiu”, „Id”, „Radarze”. Ma podpisaną umowę wydawniczą z „Iskrami” na udział w „Almanachu młodych” przy lubelskim oddziale ZLP. „Nie brałem udziału w konkursach — twierdzi — i nie zdobyłem nigdy pierwszej nagrody. Lubię młode środowisko literackie, ale go nie przeceniam”.

Uprawia prozę umowną, na pograniczu groteski. „Wszystko przepuszczam przez

pryzmat swojej osobowości. Osobowość to instrument badawczy świata. Spostrzeżenia swoje kondensuję i wyłaskrawiam, i stąd groteska”. Jak zwykle w takich przypadkach — powstaje proza oscylująca między satyrą obyczajowo-psychologiczną a próbami rozważań egzystencjalnej problematyki ludzkiego losu. Upodobał sobie formę krótką. „Nie interesuje mnie tworzenie nowej „Pani Bovary”, rzeczy skończonych, doskonałych, nieskazitelnej w swym kształcie. Piszę teraz dłuższą prozę, składam ją jednak z odcineków, rodzaj pamiętnika, zapisku, szkicu...”.

Mimo naturalistycznych ciągów Fiala zdaje się dobrze wiedzieć, o co mu w twórczości idzie. I nie jestem pewien, czy ten nadmiar świadomości mu nie przeszkadza. Jest to bowiem wbrew pozorom człowiek dobrze ułożony.

MP

Adam Fiala

Dokończenie ze str. 9

ku pyta: „gdzie Mały? Czemu nie przychodzi? Pogniwał się, że wtedy...”

Matka nie wie, może nie chce wiedzieć, że życie zmieniło się i świat nie jest ten sam, co z czasów ich biedy i historii z „czarcia studnią”. Nie wychodzi ze swego pokoju od chwili, gdy jej zabroniono żebrać. Jedynie jej zajęcie — to robotki na drutach i pie-

kańca”, jak mówili na niego w okolicy, jako że wszyscy wiedzieli, iż bogatych krewnych za oceanem miał i ptasiego mleka mu nie brakowało. Dziwne, jak czasem człowiek porządny schodzi w pohańbieniu z tego świata, a zwykły rozbójnik umiera w glorii mecenarskiej. Poszukiwali także Leona. Agnieszka męczy myśl, że nigdy nie dowie się prawdy o tym człowieku. Sympatyzowała z czerwonymi, więc nawet nie dziwiła się, gdy pewnego dnia wrzucono ją do wagonu peł-

dzieci, matkę. Życie zbyt ją doświadczyło, aby mogła o sobie powiedzieć, że pozostało w niej poza pamięcią — cokolwiek z Agnieszki dawniej. Nie była już Agnieszka naiwna, nie wiedząca skąd rodzi się głód jednych i pycha drugich. Wróciła jak gdyby oswojona ze śmiercią. Wydobyla się z prawdziwej czarnej studni. Ma dom, dzieci nie cierpią głodu. Ale przeszła przez piekło podwójne: to, wywodzące się z doł wrotnika, i drugie, sto-kroć gorsze: obóz śmierci.

Pochyla się nad grządką. Maj wybuchł tak niespodziewaną zielenią, że Agnieszka boi się, iż nie zdąży zagospodarować ogródka. Przypomina się jej czas leblody, zupy z pokrzyw, chleba z plewami. Czasem zjawiał się „amerykaniec”, mrugał chytro-nijako oczkami, pytał o to i owo i wsuwał pięć złotych matce niby a conto prania... Ale nawet ten czas był czymś jaśnym w porównaniu z obozem. Do dziś prześladują ją oczy. Złe — dobre — nijakie — ludzko-nieludzkie oczy esesmanów. Oczy jak wszystkich, zdawałoby się ludzi. Ale te oczy potrafiły się śmiać, gdy człowiek zawisł na elektrycznych drutach, gdy rozszarpał go policyjny pies, gdy więźniowie gęsnego szli do gazu... Jak do tego obozu trafił „amerykaniec”? Był zamożny, żył w dostatku, do polityki się nie mieszał. Mówiono, że Niemcy odkryli u niego bunkier, w którym miał przechowywać partyzantów, czy Żydów, a przy tej okazji — złoto i jakieś drogocenności.

Agnieszka pamięta tego żylatego chytrka, pamięta go doskonale. Leżał na smrodliwej słomie i rzeził. To był obrazek codzienny, toteż nie wryby się w niczyją pamięć, gdyby nie to jego przyznanie, które spadło na nią jak grom, jak ocalenie, jak męka. „Agnieszko”, mówił szepem, a był to już szep konającego, „to ja podrzuciłem twemu bratu te wota. Zabilem go”. Sina, trupia ręka porusza się na sienniku, chwytając Agnieszki. „Ty bandziorze”, syczy Tadeusz, „a myślny myśleli żeś ty jednym z nas. Ty morderco, ty...” Agnieszka łagodnie odsuwa Ta-

deusza. Czuje na przemiłan przyplw gorącej fali i lód, kryształki lodu... Coś ją zaczyna dusić. Ulga? Agnieszka zaciska zimne palce mordercy swego brata prawie z wdzięcznością, może ze wstrętem? Wie, że Mały odzyskuje tu, wśród drutów, smrodu, nienawisści, grozy śmierci, swój honor. Agnieszka czuje w sobie wzbierającą czułość do brata, nigdy przecież nie uzwętnętrzoną. A jednocześnie widzi, że jej własna dłoń gładzi rękę człowieka zbrukanego krwią Małego. „Agnieszko”, mówi umierający, „ja nikogo w Ameryce... ja wszystko... tam był loch... do kościota... ja wiedziałem... To ja... On nie wziął... nie wiedział... wpadł na trop... Agnieszko...” „A tych dwóch?” pyta Agnieszka. „powiedz kto zabił tych dwóch? Słyszysz, tych, co kopał studnię!”

Starzec rzezi, chce jeszcze mówić, ale to już nie głos, a skurcz bólu, jakiś wysięk nieobecny. Agnieszka czuje, że trzyma dłoń trupa. Nie wierzy, woła: „Kto zabił tych dwóch, słyszysz? Kto zabił tych dwóch?” Jabłoń nabrzmiwa pakami pełnymi soków. Lada chwila obsypie się kwieciami, już odwiedzają ją pszczoły zwabione obietnicą wiosennego misterium. Agnieszka dotyka łagodnie pnia drzewa. Mówi jak do przyjaciółki: „Będziemy mieli wiosnę. Naprawdę będziemy mieli wiosnę”.

Przepiętna ja czułość. Wchodzi do pokoju matki. „Mamo”, mówi, „niedługo wyjedziemy na wieś. Pozwól, że ci otworzę okna i przesadzę kwiaty. Idzie wiosna, mamo. MAMO!” Piaszcz Małego zsunął się z jej kolan, szablą i czapka obok na podłodze, mundur na poręcz fotela. Agnieszka dopada ręk matki, związującą bezzębnie. Zimne. Twarz starej kobiety przypomina korę drzewa. To już maska żywej twarzy, woskowa rzeźba. Agnieszka nie słyszy dzwonka, wołania Tadeusza, dzieci. Obejmuje kolana zmarłej.

Jan Górec-Rosiński

(Z tomu „Szkłana ściana”, który ukazał się nakładem Wydawnictwa Morskiego)

CZARCIA STUDNIA

legnowanie munduru syna. „On jeszcze swoje robi”, mówi jak gdyby do siebie, „nie darmo walczył o Polskę”. Wszyscy wtedy milczą, bo tak naprawdę, to ani dzieci, ani Tadeusz nie zna całej prawdy o ich przeszłości.

Agnieszka wzięła zaraz w pierwszych dniach wojny. Wzięła także Marcina. Za co wzięła Marcina? Spokojnego dziecka, „amery-

nego smrodu i przerażonych ludzi, nie wiedzących dokąd i po co ich wiozą. Dopiero za drutami... Ale to już osobny rozdział życia. Agnieszka nie lubi o tym opowiadać. Wróciła z obozu innym człowiekiem. Leon nie przeżył wojny. Dosięgła go kula, bo i na niego polowało gestapo. Jak to z nim było naprawdę? Czy wyjaśni się kiedykolwiek historia niegdyś bliźkiego jej człowieka? Potem — być może — usiłował odkupić swą winę placąc za to najwyższą cenę... Agnieszka czuje się zmeżona: jest już poza zasiekami, biedą, ale wyrosły przed nią nowe bariery: moralne, odpowiedzialność za

Kamena str. 10

Pokolenie dramatyczne

TADEUSZ Borowski w szkicu *Portret przyjaciela* dał taką sylwetkę Andrzeja Trzebińskiego: *Andrzej chodził wiecznie głodny i niewyspany. Nie miał porządnego butów. Ubranie miało jeszcze to z licealne, ciasne, krótkie i wysłużone. Nosił drewniane. Słynne były jego nogawki, sięgające do pół tydki. Rzucił się wszędzie w oczy. Kto go raz widział, pamiętał na zawsze. [...] Chodził w drewniakach, wysoki, nie ogolony, z ironicznym błyskiem w oczach. Stołował się w niemieckiej fabryce, ponieważ nie znalazł się nikt w całej Warszawie, kto by człowiekowi temu zechciał dać jeść. Może był zresztą zbyt dumny, aby brać tam, gdzie nie nie ryzykował. Trzebiński zdawał razem z Borowskim matura, uczestniczyli w jednym komplecie uniwersyteckim. Wbrew tytułowi szkicu Borowskiego więcej ich różniło, byli raczej antagonistami. Nie kryje tego Borowski, a Trzebiński pisze w pamiętniku o przyszłym autorze *Pożegnania* z Marią z wyrażoną niechęcią.*

Trzebiński należał do „pokolenia wojennego” czy — zgodnie z wprowadzonym przez niego określeniem — „pokolenia dramatycznego”. Przesłoniła jego dokonania pisarskie sława Baczyńskiego, Gajcego i Borowskiego. Jakkolwiek uważał się przede wszystkim za artystę, za pisarza, nie troszczył się o utrwalanie w druku swoich utworów konspiracyjnych, poza pracami krytycznymi i publicystycznymi. Nie wydał żadnego tomu, jak to uczyniło wielu jego rówieśników. A przecież tworzył wytrwale i gorączkowo, sprawdzał swe uzdolnienia pisarskie w różnych dziedzinach, uprawiał poezję, prozę, krytykę, publicystykę i dramaty (Aby podnieść różę). Zostawił niezwykle ciekawy pamiętnik. Trzebiński zginął mając zaledwie dwadzieścia jeden lat, a mimo to — według słów Zdzisława Jastrzębskiego, zmarłego niedawno badacza dorobku młodych pisarzy czasu wojny — był „najbardziej charakterystyczny dla wojennego pokolenia zarówno w swych zaletach jak i w błędach”.

W chwili obecnej Trzebiński jako pisarz opuścił już krąg niepamięci. Przed dwoma laty Z. Jastrzębski opublikował w wydawnictwie PAX utwory poetyckie oraz dramaty *Aby podnieść różę* (którą grały z powodzeniem teatry), a niedawno — również w opracowaniu Jastrzębskiego — ukazała się proza Trzebińskiego: artykuły krytyczne, powieść *Kwiaty z drzew zakazanych*, a zwłaszcza bardzo interesujący pamiętnik, niestety — jak i inne utwory tego pisarza — zachowany w kształcie niepełnym.

Jakże inny jest ten dziennik-pamiętnik od głośnych dokumentów lat okupacji, jakie stanowiły dzienniki Klukowskiego i kronika Landaua. Starsze, uformowane już pokolenie, doświadczające wielokrotnie, zajęte było sprawą przetrwania i dokumentowaniem zachodzących wydarzeń, wojna była dla niego kolejną choć najcięższą fazą życia. Dla młodego pokolenia czas wojny był wszystkim — trzeba było jednocześnie żyć, uczyć się i tworzyć własne oblicze. Pamiętnik Trzebińskiego ukazuje, w jakich odbywało się to warunkach. Zaświadcza on, jak bardzo ludziom tego pokolenia spieszyło się, jak intensywnie oni żyli i znajdowali się w nieustannym przyspieszeniu czasu. Ci chłopcy dzielnie dojrzewali przed śmiercią — mówi rozmówca Borowskiego we wspomnianym na początku szkicu. *Tylko pamiętać ważne każdego dnia, każdej godziny — pisze Trzebiński. Podobne refleksje pojawiają się najczęściej w kontekście śmierci najbliższych ludzi, zwłaszcza przyjaciół — kolejnych redaktorów czasopisma „Sztuka i Naród”. Stanowisko redaktora tego czasopisma los powiązał z wyrokiem śmierci, ginęli bowiem kolejno Kopezyński, Bojarski, Trzebiński, po nim zginął Tadeusz Gajcy. Śmierć przyjaciół stanowiła wezwanie do zwiększonej aktywności: *Dziedziczymy po zabitych, po tych, którzy zginęli, ostrzy i tuarzą kontur naszego życia tutaj.**

Śmierć stanowi jeden z przewodnich motywów pamiętnika Trzebińskiego. Prowadził on życie zawodowe konspiracyjnie, nie miał domu (zmieniał mieszkanie w Warszawie kilkadziesiąt razy!), kierował kolportażem prasy prawicowej Konfederacji Narodu, później tworzy organizację pod nazwą Ruch Kulturowy. W pracy tej spalał się, ale także dojrzewał. Żył na krawędzi możliwości, przekonany, iż jego śmierć jest sprawą niedalekiej przyszłości. Strony pamiętnika poświęcone refleksji nad życiem i śmiercią należą do najbardziej zapadających w pamięć. Oto kilka zdań: *Konieczność mojej śmierci staje się coraz oczywistsza... dzień wolności nie może mi zastąpić żywym... pragnę śmierci, trzeba umrzeć... Gdzie indziej pisze obrazowo, że jego życie obławane jest przez wody śmierci, daje wyraz przeświadczeniu, iż podlegający mu ludzie w każdym momencie opierają się plecami o śmierć.*

Dziwianie odpowiedzialności za innych, rozczarowania we współpracy z ludźmi sprawiają, iż Trzebiński staje się w pamiętniku jakimś współczesnym Kordianem, postacią z dramatu romantycznego. Poczucie władzy prowadzi do samotności, wybitna jednostka nie znajduje bowiem zrozumienia i partnera, wobec tego poświęca się za wszystkich, pragnąc osiągnąć zwycięstwo w pojedynkę, siłą własnej woli. Nawiasem mówiąc, strony pamiętnika-wypowiedzi przywódcy objawiają najwięcej niedojrzałości. Ten klimat nocnych spotkań i rozmów w cztery oczy, ten ceremoniał otaczający osobą „wodza” wydaje się niepoważny. Bez sympatii czyta się też wyznania o fanatyzowaniu ludzi ideami ruchu: *Niekoniecznie mówić im, czym są sfanatyzowani, to co wierzą, to nie wiedzą, o co chodzi, wierzy się znacznie bezużyteczniej. Czy sam Trzebiński wiedział zawsze, o co chodzi?*

Odwołania do postawy romantycznej spotykamy w pamiętniku nieustannie. Trzebiński był wyczułony na historię i jej patos. Borowski także przyjął perspektywę historii:

Zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.

U Trzebińskiego wygląda to nieco inaczej: *Pochłonę nas historia, Młodych, dwudziestoletnich chłopców. Nie będziemy Mochnackimi, Mickiewiczami, Norwidami swojej epoki. Mogliśmy być Rimbaudami. Ale odrzuciliśmy to, bo szliśmy gdzie indziej. Trzebiński łączy się z historią związaną — nie tylko z przeszłością, ale i przyszłością. Uważa się za człowieka historii, pragnie jej wyzwaniu sprostać; mam przed sobą historię i to mię trzyma — czytamy w pamiętniku. Perspektywa historii jest konieczna, jeśli marzy się o wielkości życia i dzieła, a to marzenie niestannie przyświecało Trzebińskiemu. Chciał być człowiekiem tworzącym epokę. Mochnacki nie na próżno został przywołany, jak zaświadcza inna zdania pamiętnika: *Byłem znowu tam na dole, kolo pomnika, miejsca beluederyczków. Historia jątrzy mię i oślepia. Ja nie mogę żyć poza historią, poza sferą mitu i legendy, pomników wznoszonych z...**

Zostało wiele jak na dwudziestoletnie życie, niewiele jak na dany Trzebińskiemu wymiar możliwości. Zginął rozstrzelany pod nazwiskiem konspiracyjnym na Nowym Świecie w listopadzie 1943 r. Był to „niespokojny czas”, jak zapisał w pamiętniku na kilka dni przed śmiercią. Jest to jedna z nielicznych wypowiedzi Trzebińskiego na temat okupacji i jej atmosfery. Pamiętnik mówi głównie o pracy własnej, działaniu i heroicznym życiu. Okupacja ujmowana była jako rzeczywistość groteskowa, którą trzeba było ignorować, rzeczywistością było to, co miało nadejść. Ale nie każdy z „pokolenia dramatycznego” mógł tego doznać.

Pisma Trzebińskiego wydane zostały z wielkim pletyzmem i starannością edytorską. Zdzisław Jastrzębski bowiem jak mało kto włączył się w problematykę twórczości pokolenia Baczyńskiego i jego rówieśników. Świadectwem tego były edycje pism — prócz tu omawianych — *Strolęskiego*, książka *Literatura pokolenia wojennego wobec dwudziestolecia*, liczne szkice i artykuły. Przygotowywał rozprawę habilitacyjną o problematyce humoru i kpiny w twórczości konspiracyjnej. Najnowszy numer czasopisma „Teksty” przyniósł niezwykle ciekawy szkic Jastrzębskiego *Kpina i terror*, wprowadzający w tę problematykę. Końcowe zdanie o apelu „o nadsyłanie wiadomości o uratowanych materiałach” zdaje się być jednym z objawów ironii losu, ewentualne odpowiedzi nie będą już miały adresata. Uformowany przez lata z wielkim trudem warsztat badawczy Jastrzębskiego nie wyda dzieł, jakich wolno było od niego oczekiwać.

Tadeusz Klak

Andrzej Trzebiński: *Kwiaty z drzew zakazanych*. Proza. Słowo wstępne i opracowanie Zdzisław Jastrzębski. Warszawa 1972. Instytut Wydawniczy PAX.

Szyfrogram literacki (nr 25)

Odgadnijcie wyrazy pomocnicze. Na miejsce liczb wpiszcie odpowiednie litery, które przeniesie do zamieszczonego diagramu. Rozwiązanie da fragment wiersza jednego ze starych poetów lubelskich. Ponieważ tekst jest archaiczny, niektóre słowa mają nieco inne brzmienie niż we współczesnym języku. Należy podać też autora tekstu, w czym dopomoga Wam dwa wyrazy pomocnicze.

Wyrazy pomocnicze:
63, 42, 3, 16, 25, 25, 6, 41 — hitlerowski dywersant
73, 77, 82, 7, 51, 14, 61 — księżyc
1, 13, 85, 31, 17, 89, 4, 66 — turystyczna podróż
53, 7, 48, 45, 43 — dodatek do pierogów z serem
15, 8, 62, 29, 88, 78, 57 — przedni zab
29, 54, 59, 37, 9, 34 — działanie na scenie
41, 52, 36, 69, 69, 10 — odwaga
49, 32, 67, 44, 48 — oręż niektórych owadów
90, 78, 22, 81, 76, 27, 64, 23 — znany pałac w Warszawie
72, 13, 28, 85 — tytułowa postać utworu, z którego fragmenty macie odgadnąć
27, 54, 39, 66, 5, 75, 24 — duży kwiat hodowany w naszych ogródach
11, 38, 18, 12, 79, 39, 68 — awanturnik, pientek
56, 59 — śpiewane „e”
65, 84, 87 — poeta współczesny autorowi fragmentu odgadnięcia
71, 55, 21, 83, 26, 74, 46 — gałęzie drzewa szpilkowego przypominające święta.

1	2	3	4	5	6	7	8	9		
10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	
20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	
30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40
41	42	43	44	45	46	47	48	49		
50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	
60	61	62	63	64	65	66	67	68	69	
70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	
80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90

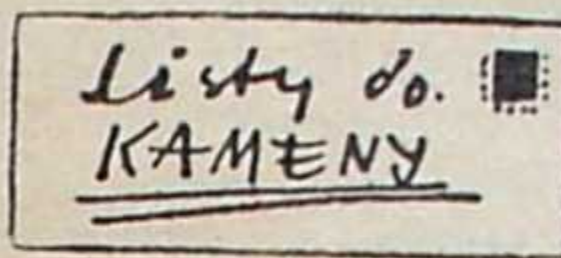
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 23

POZIOMO: Majakowski, trawna, Nogal, tapicerka, Lyon, Parandowski, tabior, Ekwador, atole, Narew, Nepal, duki, Iskra, lamus, klaki, torbiel, Ilion, Monkskusz, Kama, prekursor, Idaho, Aldona, Krzeszowski.

PIONOWO: mandat, Kotlarewski, wytop, Ibiza, trend, trans, Archimedes,

garbarnia, Adana, norniki, wata, wydatek, dolar, Apollinaire, Olimpiada, narokomania, skat, Busko, Napoli, napęd, sakwa, igrek, zarys.

Nagrody wylosowali: Maria Radziusz, Jelenia Góra, ul. Grottego 32 m. 4, Maria Leonard Gaś, Pabianice, ul. Farnalskiej 5 m. 4, Teodor Nyka, Bydgoszcz, ul. Spokojna 3/141, Józefa Dyduna, Łódź, Cytelnica 7.



„O paniach minionego czasu”

W nr 22 „Kamenu” w szpalcie „Listy do „Kamenu” zamieszczony został list P. Zofii Vogelgesang do Krasnostawskiego, nawiązujący do mego artykułu „O paniach minionego czasu”. Ucieszyłem się, że artykuł wzbudził zainteresowanie i że nawet zachęcił P. Vogelgesang do podzielenia się z czytelnikami „Kamenu” swymi wiadomościami o potw. krasnostawskim. Ponieważ jednak w liście znalazło się kilka nieścisłości, które miałyby być uzupełnieniem do wiadomości zawartych w moim artykule — chciałbym je sprostować.

Dzielnica majetności Jana Zbigniewa Oleśnickiego, starosty opoczyńskiego, w której zmarł, to Szekarkowice (dziś to pow. Iłżecki woj. kielecki). Lektura „Złoty nagrobek...” nie została też w 1559 r. założona zostało maśteczko Tarnob. W liście do Krasnostawskiego w Torulowie — Anna pochowała swego drugiego męża.

Pierwszy chronologicznie portret Anny ze Stanistawskich Oleśnickiej znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie i o nim to pisałem w swoim artykule. Natomiast reprodukcją w „Kamenu” pochodzi już z okresu wdo-wieństwa po śmierci Zbigniewa. O portretach Zbigniewa pisze w interesującym artykule J. Ruszczyćówna — „Trzy portrety polskiej poeci XVII wieku” (Rocznik Muzeum Narodowego w Warszawie t. XIII 69 r.).

Związek Klementyna z Tańskich Hoffmannowej nie mają jednak „Krasnostawskich podstate”, tak jak to sugeruje Autorka listu. Hoffmannowa istotnie spędziła kilka pierwszych lat swego ży-

cia w majątku Izdebnu, stanowiącym własność zaprzyjaźnionej rodziny Szymanowskich, jednak to Izdebnu leży w pow. sochaczewskim woj. warszawskiego. Właśnie w kościele parafialnym w Izdebnu pochowany został zmarły w 1895 r. ojciec Klementyna — Ignacy Tański. Tański dzierżał od swego przyjaciela Jana Łuszczewskiego (urodzonego z Szymanowskiej) majątek Wyczołki, leżący niedaleko Izdebnu. Klementyna z Tańskich Hoffmannowa pisała w swoich pamiętnikach, że w Izdebnu spędziła 10 lat (byłyby to lata 1891—1891).

Henryk Gawarecki
Lublin

Nie wolno zapomnieć

Na płótnym budynku tworca kolejowego w Lublinie, przy wejściu, wmurowana jest tablica pamiątkowa z napisem: „W dniu 6.IV.1943 r. przed tym tworcem zginął z ręki niemieckich policjantów i sekretarz Komitetu Obwodowego PPR Michał Wójciszewski („Zygmun”)”. Nieutule na ten temat można się dowiedzieć od kolejarzy i mieszkańców ulicy Postrzowej, Młyńskiej i Maja.

Bliiska tworca kolejowego znajdują się Zakłady Skórzane im. Mariana Buczka. W tej najbliższej dzielnicy robotniczej Lublina syn lubelskiego kolejarza spędził swoje dzieciństwo i zdobywał pierwsze szlify działalności rewolucyjnej. Młode pokolenie i tej dzielnicy i z tego zakładu bardzo mało powiło o życiu i działalności Mariana Buczka.

Rozmawiałam z młodymi ludźmi zamieszkałymi przy ul. Hanki Sawickiej na temat działalności pierwszej przewodniczącej Zarządu Głównego Związku Walki Młodych, Niewiasty, dowiadując się niewiele. Przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie przez pewien czas mieścił się Zarząd Główny ZMW i redakcja „Walki Młodych” — mieszkańcy tego domu nie o tym nie wiedzą.

W rozmowie z młodzieżą z ulicy Lucyny Herc powiedziano mi tylko tyle, że „Lucyna Herc była prawdopodobnie oficerem w Wojsku Polskim”. Niewiele więcej może dodać młodzież zamieszkała w rejonie lasów parceszteskich. W lu-

biańcu noc 1943 r. przybyła ze Związku Radzieckiego, jako szczerk do munduru polskiego oficera z polskimi i radzieckimi odznaczeniami na pierśniku. Szybko podbiła serca okolicznej młodzieży, która masowo wstępowała do oddziałów partyzanckich. Ciężko ranna w walkach o Warszawę 21 września 1944 r. nazajutrz zmarła i została pochowana na cmentarzu wojskowym w Otocuku. Pośmiertnie nadano jej stopień kapitana i Krzyż Kawalerski ze Złotą Gwiazdą.

Ostrów Lub. i jego okolice to nie przeciętna historia tamtych dni oraz prawdziwa szkoła patriotycznego i obywatelskiego wychowania. W odległości kilkudziesięciu kilometrów od Ostrowa Lub., w Rudcu Kijanowskiej, położonej prawie w samym centrum działalności konspiracyjnej, rozmawiałam z przedstawicielami młodego pokolenia. Przedmowa nasza dotyczy się obok starej chaty Ignacego Kasperczaka, w której 18 lutego 1944 roku powstała pierwsza w okupowanej krainie Lubelska Kompartyzja Wojewódzka Rada Narodowa. Trudno jest tym młodym ludziom coś o tym powiedzieć.

W Rozkopaczewie (pow. lubartowski) powstała jedno z pierwszych na Lubelszczyźnie kół ZMW. Rozkopaczewska organizacja ZMW znana była dobrze ze swej aktywnej działalności. W dniu 1 Maja 1947 r. siedmiu członków ZMW z Rozkopaczewa i Wólki Starej w czasie powrotu z manifestacji 1-majowej z Lubartowa zamordowano bestialsko pod Sernikami. Dzięki wydatnej pomocy młodzieży Lubelszczyzny w Rozkopaczewie zbudowana została szkoła im. ZMW. W rozmowie z moimi kolegami, którzy razem z mną byli m.in. inicjatorami budowy tej szkoły, dochodzimy do wniosku, że piękne i bogate tradycje ZMW nie są znane znacznej części młodzieży.

Należymy jednak dokumentem tamtych dni są ludzie. Jest szczerpina okazja, aby z rąk przyspawającej w przyszłym roku (31.12.73) 30 rocznicy powstania ZMW i 25 rocznicy powstania ZMP (21.11.1973) dokonać gruntownego bilansu tych organizacji i spopularyzować ich dorobek.

Adolf Belniak
Suchowola

Odpowiedzi redakcji

Z. G. Krańnik. Zbyt łatwo wyobraża Pan sobie zagadnienie poezji. Mówi Pan tak, jakby z jednej strony istniał niezwrószony kanon zasad z drugiej materiał, do którego te zasady trzeba zastosować, czyli język. Skoro zasady są służące, a język jest dany, to prawidłowo przeprowadzona czynność zastosowania owych zasad musi przynieść pożądany efekt, a więc udany wiersz. Tak mniej więcej wygląda skróty Pańskiego rozumowania. Niestety takich zasad — poza najogólniejszymi — nie ma, a więc każda postać poezji sama musi się konstytuować siłą własnej kreacji. Zachodzi więc ten stan rzeczy, że z całą pewnością o poezji „w ogóle” można wypowiadać tylko zdania przeczące. Można powiedzieć jak nie należy pisać, nigdy nie można podać

recepty na udany wiersz. I to chyba jest raczej zrozumiałe, inaczej nie potrzebni byłby... autorzy.

C. B. Włodawa. Gdy słyszmy pytania „jak pisać”, „jak poprawić styl”, „jak kształtować środki wyrazu” stajemy bezradni. Cóż odpowiedzieć: pracować nad językiem? zdobywać się na trafną metaforę? zwiększać potencjał liryczny? Odpowiedź powtórzy elementy zawarte w pytaniu. Zwrotym się zresztą do autorów posiadających bezsporną pozycję w panoramie polskiej poezji — każdy da odpowiedź inną. Dali już za pośrednictwem swojej twórczości. Rzecz w tym, że poezja — szczególnie ona, a dotyczy to pisania literackiego w ogóle — jest mową „od autora”. Jest uzewnętrznieniem się osobowości twórczej, więc w ostatecznej instancji „jak pisać?” oznacza „jak być sobą?”. Odpowiadając w ten sposób nie wykręcamy się od stanowiska, od pomocy młodej autorce. Zwracamy tylko uwagę, że samo podejście do tematu „poezja” już wymaga pewnego zasobu przemysłu i doświadczeń własnych, a to znajduje się jeszcze przed Panią.

Czy zatrujemy samych siebie?

Dokończenie ze str. 7

ne, co kosztowało ponad 180 mln zł. W bieżącej pięcioletce na te same cele przeznaczono już 487 mln zł, co pozwoli nie tylko na dotrzymanie kroku rozwojowi przemysłu i gospodarki komunalnej, ale i na odrobienie znacznej części zaległości. Na instalowanie dalszych urządzeń odpylających wydamy do 1975 roku 218 mln zł, a więc 230 proc. więcej niż w poprzedniej pięcioletce. Z tego 124 mln wydatkują cementownie w Chełmie i Reljowcu, które w chwili obecnej wysyłają w powietrze, a potem na ziemię, prawie 50 tys. ton pyłów rocznie, co zresztą jest już znacznie mniej niż przed 5 laty (gdy nie pracował jeszcze Chelm II — 64 tys. ton rocznie).

Mimo takich czy innych narzekań, mimo alarmujących nieraz

faktów Polska jako całość nie odczuwa tak ujemnie wpływu rozwoju przemysłu i urbanizacji na pogorszenie się warunków środowiska życia ludzkiego. Mimo to należymy w grupie państw uprzemysłowionych do tych kilku, które przywiązują teoretycznie i praktycznie — wielką wagę do ochrony tego środowiska. Podobnie jest i w naszym województwie. Co nie oznacza jednak, że możemy być zadowoleni, bo wprawdzie w mniejszym wymiarze, ale przecież nekąją nas, szkodzą naszemu zdrowiu różne braki i dolegliwości. Aby nie było gorzej musimy je już teraz usuwać, a równocześnie zapobiegać tym, które mogą powstać w przyszłości. Nie chcemy bowiem, aby nasza działalność w jakiegokolwiek dziedzinie obracała się przeciwko nam samym.

Jerzy Dostatni

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BAGDAN MADEJ, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSLAW DEBECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGORSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe BSW PRASA, Lublin, ul. Jasna 8. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamal KONSTANTY KEPA
Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-93, sekretarz redakcji i dział publikacyjny 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 121; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 2731. 13.XI.72. 13.613. B-4

Niejaki „akw” w pozycji stojącej i samopompującej

PODOBNO Hemingway pisał, stojąc przy wysokim pulpicie i kreśląc swoje amerykańskie zdania. Stojąc przy wysokim pulpicie, nie koniecznie musi się pisać dobrze i słusne rzeczy. Można natomiast pierwszorzędnie pić wódkę, co, zdaje się, Hemingwayowi nie było obce i nie jest też obce panu K., który pisze poezje, nie wiem w jak sposób, ale wiem, że ponadto pracuje w gastronomii, w związku z czym wcześniej czy później zostanie on zdemoralizowany. Bo nie można pracować w gastronomii, a równocześnie być poetą, chyba że się chce być poetą zdemoralizowanym. O tym prawdopodobnie nie wiedział Hemingway, ale na wszelki wypadek nie pracował nigdzie, poza tym że się bawił w dziennikarza, korespondenta wojennego i myśliwego.

Czytałem wszystko Hemingwaya, co na polski przetłumaczono, to znaczy poza kilkunastoma świetnymi opowiadaniem parę sentymentalnych oraz rozgadanych powieści. I widać nie nie było, że pisał stojąc przy wysokim pulpicie. Hemingway ze swoim suchym amerykańskim zdaniem. Osobiście nie mam nie swoim suchym amerykańskim zdaniem. Osobiście nie mam nie swoim suchym amerykańskim zdaniem. Osobiście nie mam nie swoim suchym amerykańskim zdaniem.

minuta myślenia

Składanka poetycka

POKOLENIA, manifesty, ataki, odkrycia. Ale pokolenie różniące się od siebie o 4 lata, manifesty zamiast utworów, ataki personalne, a odkrycia nowych zwrotów zachępiętych ze stylizacji i przeciwników i epigonów i pradziadków. To chyba dość wierny obraz współczesnej polskiej poezji. Poezji — jako imprezy o pokroju raczej towarzyskim, bardziej służącej zapelnianiu czasopism literackich tygodniowymi sensacjami, niż wrażliwości czytelnika nowymi doznaniem. W tym wszystkim, co się obecnie o poezji pisze, denerwuje dominujący ton felietonu, manipulacji stylizacyjnej, pobrzękiwania w terminy, jakby sami piszący mieli nałożony tłumik intelektualny nie pozwalający na przedostanie się poza warstwę zadrukowanego papieru ku poezji jako formie

kontakta człowieka ze światem. Nawet za naiwność uchodzi to drugie. Jakżeż widzieć świat, skoro jest symposium, festiwal, kolumna w czasopiśmie, organizująca się nowa grupa.

Tak więc dzieje teorii poetyckich na przestrzeni ostatnich lat zawierają w sobie raczej nikły ładunek wartości intelektualnych i dziwić się można „Poezji” — a może podziwiać jej odwagę — że pod tytułem „Deklaracje i manifesty” w numerze 10 opublikowała tak obszerny przegląd wszystkiego, co się na temat poezji napisało od roku 1943. Już sam tytuł! „Deklaracje”, „manifesty”... To podobno obelga dla autora wierszy, w każdym sensie określenie przenoszące jego artystyczny wysiłek daleko poza obszar jakości estetycznych. Czy w takim ujęciu należało dokonać tej retrospekcji? Ale stało się. Mamy gotowy produkt i nie sposób proponować innego, chyba że by grupa zapaleńców przeprowadziła konfiskatę numeru ingerując w tym celu na teren nawet mieszkań prywatnych.

Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, że tekst, jaki w ten sposób redakcja zaprezentowała to składanka fragmentów powiązanych konferencką relacją. Tym bardziej osobliwa, gdy konferansjerowi przyszło zapowiedzieć siebie samego, jako wykonawcę. Na dobrą sprawę nie wiem, jaka „nauka moralna” mam wyyczać z tego compendium dokumentacji prasowej dotyczącej tematu „poezja”. Historia magistra vitae? Może vitae, ale nie zawsze artis. Bo jeśli autorem przyświecał zamiar „osadzenia”

świeca i coraz mniejsze ma ona szanse kształtowania czyjejkolwiek świadomości. Hemingway był w swej szlachetnej przesławności, wymyślał swoje życie według własnych powieści, aż się skończyło „wypadkiem” z bronią i trzeba było się z bronią potęgnać na amen. Nakłady dzieł Hemingwaya osiągnęły w Stanach Zjednoczonych pokazywanie wysokości, ale jego rodacy absolutnie nie zamierzają potęgnać się z bronią, a nawet ostatnio wymyślają laser, poruszający się z szybkością światła (300 tys. km na sekundę), wydzielający ciepło 10 tys. razy większe od temperatury powierzchni słońca i mogący przekształcić w obłokę parę bombowca, którego wyprodukowanie kosztuje 20 mln dolarów. Laser ów może także ogrzać dzbanek kawy z odległości tysiąca mil. Ale to ostatnie zastosowanie lasera mogłoby najwyżej zainteresować owych dwunastu wybitnych poetów francuskich, którzy — jak pisze André Lauze w „L'Express” — „w latach 1946—1970 umarli z głodu, z choroby, z obedi, zatruli się gazem lub środkami nasennymi, opublikowali wstrząsające dzieła, których nikt nie chciał wziąć do ręki”.

Dwa i dwunastu wygląda w tym kontekście pogląd Alberta Moravii: „Jestem głęboko przekonany, że sztuka spełnia doniosłą funkcję społeczną. Ale społeczna funkcja sztuki może również w jakimś sensie okazać się „antyspołeczna” — w takiej mierze, w jakiej społeczeństwo współczesne stanowi siłę represyjną w stosunku do jednostki. Mam tu na myśli nie aspekty polityczne czy polityczne, lecz moralno-etyczne. Sztuka jest w pewnym sensie antyrepresyjna, wyraża to, co jest przez społeczeństwo tłumione. Dlatego społeczeństwo tak ceni artystów, tak ich potrzebuje”.

Miejmy nadzieję, że Moravia nie pisał tego na stojąco i przy wysokim pulpicie. Z pewnością natomiast w tej pozycji pisał swe wyrzuty niejaki „akw” („Konfrontacje”, 1972, październik, cena 1 zł). Niejaki „akw” ma pretensje do „Kameny”, że pozwoliła skompromitować się lubelskim młodym poetom, udzielając im zbiorowo głosu na swoich łamach. Być może, wypowiedzi ich nie we wszystkich były najgłupsze. Wszakże przeważało się tam nieco racjonalnych przesławień, będących echem dyskusji o „pompowaniu pisarzy”. Ale dyskusja o „pompowaniu pisarzy” nie podobna się niejakemu „akw” równie bardzo, jak mu się nie podobają lubelscy młodzi poeci, choć może nie tak bardzo. W „Orientacji” (lipiec 1971) niejaki „akw” napisał na temat arty-

kuł inicjującego dyskusję: „Nie, nie przeczę, że Maciej Podgórski opisał sytuację, która istnieje. Sytuację, przynajmniej, niedobry. Ale Maciej Podgórski, jak inni traktujący o tym w dziedzinie, bo bezpoczynnym, temacie, zapomniał zapytać, dlaczego tak się dzieje? Dlaczego powstają programy pozorne, dlaczego gra na koniunkturę zdominowała walkę o wartości?”

Niewiele mnie obchodzi Maciej Podgórski, który na szczęście przestał pisać o literaturze, a zajął się pisaniem o ludziach, choć nie zajął się jeszcze śpiewaniem o ludziach jak Stachura. Ale może odpowiedzieć niejakemu „akw” na jego pytania. Myślę, że dzieje się tak, jak to przywiódł Maciej Podgórskiemu nawet sam niejaki „akw”, dlatego, że „pompowanie pisarzy” jest rezultatem zjawiska pompowania młodej literatury w ogóle, wznawiania jej rozszerzenia i powinności, których ona udźwignąć nie może, bo nie może ich dziś udźwignąć żadna literatura.

Przy czym w dużej mierze idzie tu niejako o samopompowanie się młodej literatury i jej młodych krytyków, wznawiania swym kolegom kosmiczne postulatów, wartości nierelatywne, możliwości nie do spełnienia, a na końcu jeszcze 1981 odrębności pokoleniowych, tak jakby w polskiej literaturze istniało jakieś odzienie i z niczym nieporównywalne getto młodej literatury. O tych sprawach powinien dobrze wiedzieć sam niejaki „akw”, bo należy on do grona poetów i krytyków samopompujących się.

Niejaki „akw” ma pretensje, że Maciej Podgórski namawiał „młodych poetów” do łopaty. Włać ja nie będę namawiał niejakiego „akw” do tego samego. Niejaki „akw” nie jest Hemingway, a raczej chłopiec waty, zatem nie do spadła. Niech raczej może czesze swe jedwabiste włosy, pali swą znakomitą fajkę i pilnie spogląda na swój pierwszorzędny zegarek kieszonkowy. Nadzieję bowiem czas, żeby zlikwidował mit młodej literatury.

Pociej

PS. Młody poeta, pan A. R., wyjechał z Lublina, gdzie zostawił włosy i 100 zł długu. Wyjechał i zawitał do Zielonej Góry w objęcia Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza. Kto wie, co jeszcze z tego może wyniknąć?

pognatwanej współczesności. W kontekście dość szeroko potraktowanego czasu przeszłego i w ten sposób wytlumaczenia jej fenomenów, to wcale się nie czuję zorientowany tą dydaktyką. Na przykład śledząc zjawisko „zaangażowania” na przestrzeni historycznej nie mogę znaleźć wyjaśniającej analogii między formalnie potraktowaną deklaracyjnością ideowo-polityczną lat wczesnych pięćdziesiątych a turpiastą estetyką negacji komentowaną jako rzetelna postawa wobec zagadnień życia i człowieka lat sześćdziesiątych. Jedno mi drugiego nie wyjaśnia, w obu zresztą wypadkach rozmiłując się z tym trzecim, które jest naprawdę zaangażowaniem.

To samo mam do zarzucenia, kiedy zjawiska czasu przeszłego dziś już mogące mieć swoje właściwe następstwo relacjonuje się z tym znakiem wartości, jaki miały kiedyś, a miały go nieślusnie. Na przykład nieprawdą jest, że w postawie Słonimskiego wobec niezrozumiałości współczesnej poezji wyrażała się sama niezrozumiałość rzeczy, sam brak wyczuwania akustyki pojęciowej i wzruszeniowej o młodszej metryce, niż metryka akustyki Słonimskiego. Tak by z relacji „Poezji” wynikało, Słonimski niezależnie od uznania poetyki diemtralnie przeciwstawiał poetyce turpistów, lingwistów, formalistów itp. (czekolwiek tylko pierwszy z tych terminów był wówczas w użyciu) posiadł argumenty. To nie naiwny wujaszek mający jedynie słówko „nie”. Weźmy pod uwagę podobieństwo w stylizacji i w sposobie podejścia do poezji

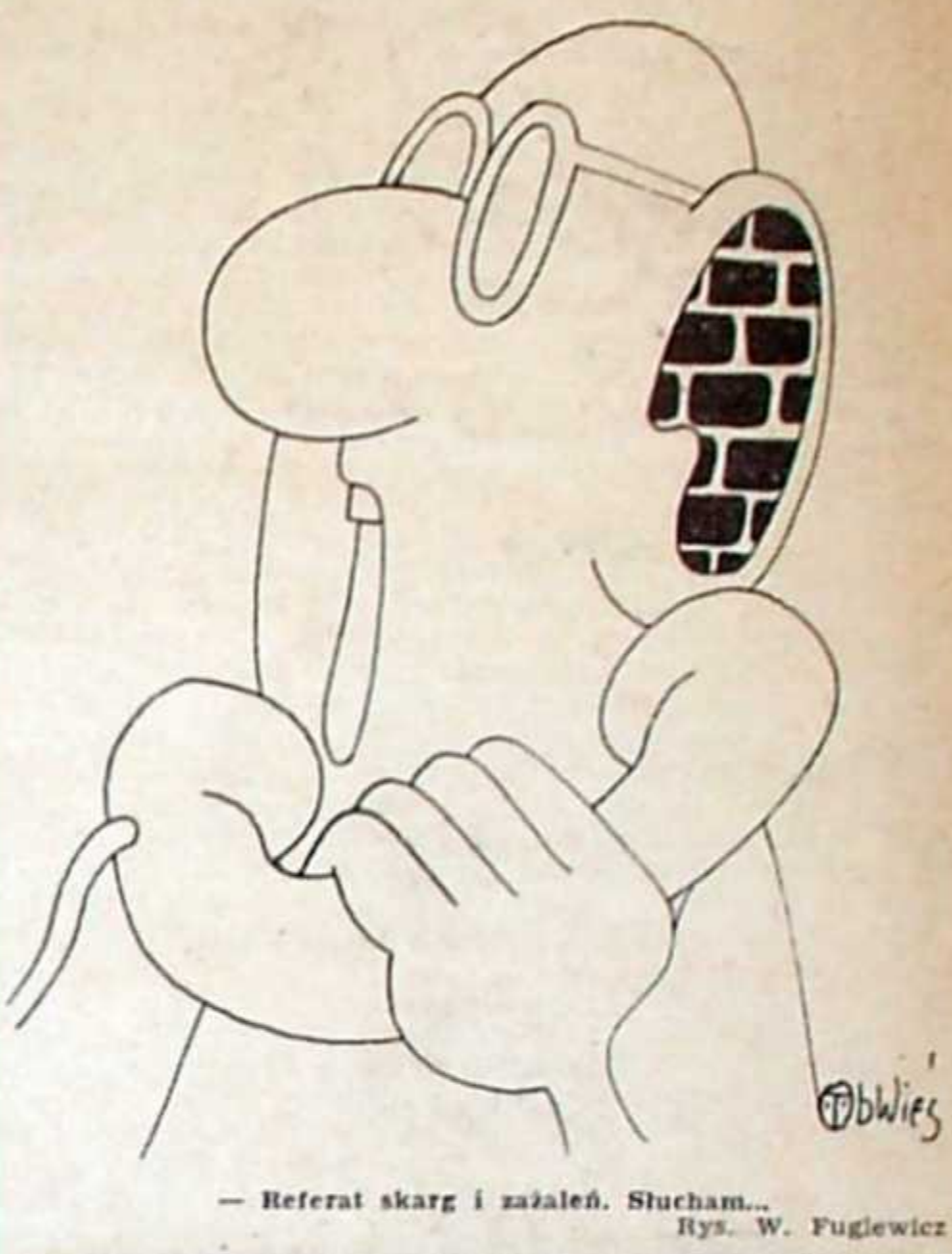
między Słonimskim a Broniewskim. Więc nie „starszyzna” tego pierwszego — jak się nie tylko w „Poezji” czyta między wierszami — jest tu powodem polemizycznym, lecz jego opozycja przeciw mistyfikacji, zaigłaniu, fuzzerze.

To samo pozostawiony nieodpowiedzialności Wazyka Galczyńskiego. Pytam: czy „Ślubne obrączki” były bardziej wyrazem podatności na wymagania lakierującej propagandy politycznej, czy „Poezja dla dorosłych” — świadectwem chwytania zmienionej koniunktury i to na sposób cheragiewki? Więc chyba czas najwyższy, by ten kanarek, który podobno zagłuszył się w wierszach Galczyńskiego i wobec którego Wazyk domagał się czynności eksterminacyjnych został wreszcie właściwie skomentowany. Czyżby była ówczesna „troška” Wazyka? Zawisła przegranej konkurenta. Niestety — niczym więcej a i to określenie przynajmniej mu rangę zbyt wysoką. Konferansjer powinien to podać.

Powiedźmy też otwarcie, że i spór o język dziesiętego wiersza miałby chyba również inny przebieg, a może i rezultat, gdyby Przybysz po „Odzie do turpistów” (uznawszy widocznie za zbyt mocny kontrakt Grochowiaka, Iredyńskiego, Białoszewskiego, Kuncewicza, Różewicza i in.) nie skapitulował „Radością sporu”.

Tak więc „Deklaracje i manifesty” zajmują sporo miejsca. Ale... No tak, jazgocik z tego jakis nawet wynika. To trzeba przyznać.

Ijon



Referat skarg i zażaleń. Słucham... Rys. W. Fuglewicz

falsetem

Lekcja miłości

TADEUSZ Kwiatkowski (nie lubelski Tadeusz Kwiatkowski - Cugow) napisał, a telewizja — czyli część publikatora (kto nie wie, odсылam do lektury „Ekspressu Wiczerowego”, który ogłosił konkurs na nazwanie po ludzku środków masowego przekazu) — przedstawiła „Lekcję miłości”. Zapewne przez niedopatrzenie sympatyczna spikerka przepięknie z Katowic na grunt warszawski (spikerka, która, o dziwo, nie czyta tylko mówi) zapomniała nadmienić, że sztuka przeznaczona jest wyłącznie dla mężczyzny w wieku podrywani, czyli od lat 12 do 30. W związku z tym trudno oczekiwać, aby lekcja mogła przynieść poważniejsze rezultaty. Nasze panie wiedzą już doskonale, na czym polega sztuka odpowiedniego wypowiedzenia słowa „kocham” i jeśli któryś z żalotników zechce naśladować telewizyjny wzorzec Kwiatkowskiego nie wróży mu wielkich sukcesów.

Aby w przyszłości uniknąć tego rodzaju nieporozumień proponuję,

aby każdy program TV był należycie anonsowany. Wiczerorem jest na przykład wyświetlany film. Zanim ukaże się pierwsze obrazy spiker bądź spikerka lojalnie zaznacza: film dorwolony jest od lat szesnastu. Nigdy jednak nie usłyszyliśmy, że co s jest przeznaczone tylko dla mężczyzn (bądź dla kobiet, ewentualnie). A jak ładnie przed wspomnianą „Lekcją miłości” brzmiały np. takie zapowiedzi: „Nadajemy teraz sztukę, którą mogą oglądać wyłącznie panowie. W związku z tym panie będą ujemnie zająć się zmywaniem garnków, talerzy, cerowaniem, robieniem na drutach — zaletnie od potrzeb i zainteresowań”.

Ha — człowiek staje się marzydziem! Po takim anonsie nawet studentki babki szeroko otwierałyby oczy, bo wszystko zakazane automatycznie otrzymuje znak najwyższej jakości. Ale telewizja byłaby w porządku. Też pragnę być w porządku i prozę, aby pewna część czytelników w tym właśnie miejscu przerwała lekturę tego tekstu. Nie mogę dokładnie sprycyzować, o którą konkretnie część mi chodził. Chciałem napisać „dorwolone od lat 16”, ale dowiedziałem się z lektury francuskiego tygodnika „Le Nouvel Observateur”, że już w wieku 7 czy 8 lat dzieci próbują naśladować rodziców. Około 15 dzieci w wieku od 6 do 13 lat wysłano w tym roku na wakacje razem, zresztą pod opieką rodziców. Za najlepszy sposób zapobieżenia temu, aby „nie robili głupstw” uznano podzielenie ich na grupy dwuosobowe — chłopiec i dziewczynka. Oto jedna z tych par: ośmioletni Anatol i siedmioletnia Sandrine. „Jesteśmy zakochani — mówi chłopiec —

Sciaskamy się i całujemy w usta”. „Spimy w tym samym pokoju — dodaje Sandrine. A przed zaśnięciem na przychodzi do mnie do łóżka”. Co wiczer, bez pogadania („Dzieci, idźcie spać, już późno”) Anatol bierze Sandrine za rękę i wchodzi oboje na górę do swego pokoju, odprowadzani czulym i spokojnym spojrzeniem rodziców.

„Zepsucie, zgnili Zachód” — cisną się słowa na usta (niestety, niecałowanie przez rówieśniczki w dzieciństwie...). Pewne wątpliwości budzą się jednak przy dalszym wczytaniu się w artykuł. Bo oto „Le Nouvel Observateur” cytuje dale słowa 17-letniego Eryka, licealisty: „Małżeństwo to oddanie się komuś, poświęcenie się mu wyłącznie”.

Już chcę powiedzieć: „Brawo, Eryku”, ale tygodynik sprzeczając mi na ziemię stwierdza, że już po dwóch latach małżeństwa 80 proc. mężczyzn i 85 proc. kobiet we Francji (kto tak dokładnie wyczylił) oświadcza (komu?), że są „zawiedzeni” bądź „niezadowoleni”. Wzrasta liczba rozwodów: jeden przypada na siedem małżeństw (a w USA nawet jeden na trzy).

Co jest więc, u licha? Czytajmy dalej: 17-letni Alain uważa, że dziewczyna „cnotliwa” jest źle widziana. Lepiej jest, aby przed ślubem „miała ona wielu chłopców, tak żeby później już się ich jej nie chciało”.

Rzecz jeszcze bardziej jest pogmatwana, kiedy człowiek zapoznaje się z „Sprawozdaniem dr Simona”, książką stanowiącą wy-

nik trzyletniej analizy kilku lekarzy, socjologów i statystyków. Jak z niej wynika, mężczyźni (we Francji) mają przeciętnie 19,2 lat, a kobiety 21,5, gdy to (prawda, jak ładnie zakamuflowane?) czynią po raz pierwszy. To są jednak liczby przeciętne, 59 proc. kobiet w wieku 20—29 lat oświadczyło, że utraciło dziewictwo przed doświadczeniem do pełnoletności, wobec 36 proc. z pokolenia ich matek.

A jak jest ze zdrajcami? 78 proc. Francuzek i 59 proc. Francuzów stwierdziło, że nigdy nie zdradziło współmałżonka. Po nałożeniu ślubnej obrączki wierniejsze są więc Francuzki. Inaczej to jednak wygląda, gdy kochankowie tych ślubnych obrączek nie mają. Tylko 10 proc. Francuzek, ale za to 30 proc. Francuzów oświadczyło, że nie zdradziło partnera lub partnerki.

Czytelnicy (ci, którym wolno było przeczytać ów felieton) oczekują zapewne na wnioski autora. Wniosków żadnych nie będzie. Wszystko, o czym wyżej, dotyczy Francji. Polacy są semper fidelis i przeprowadzanie badań na temat tego, ile razy mają zdradzić u nas żonę, a żona męża byłoby stratą czasu i marnotrawieniem energii lekarzy, socjologów i statystów. Lojalnie trzeba jednak dodać, że utrzymywanie wierności sprzyja to, co nazywamy problemem mieszkaniowym i słabą bazą hotelową. Niestety, sytuacja w tym względzie poprawia się z każdym rokiem. Co z góry sygnalizuje.

MAJ

Noty i notki

W niektórych ogniach administracji terenowej biurokracja wciąż jeszcze świeci triumfy nad zdrowym rozsądkiem, a nawet nad normalnym przestrzeganiem porządku. „Kurier Lubelski” (nr 170) zamieścił wyjaśnienie Wydziału Gospodarki Komunalnej Prezydium MRN w Lublinie, że może on ukarać właścicieli domów za wylewanie na ulicę wszelkiego rodzaju nieczystości tylko wtedy, gdy otrzyma odpowiedni wniosek od Sanepidu. A samemu nie laska? Bo wygląda na to, że jeżeli Sanepid nie zobaczy, a Wydział zobaczy, to wylewać wolno.

Od kilku tygodni 200 tysięcy mieszkańców Lublina (poza dziećmi) dziwi się, kto wymyślił takie pokierowanie ruchem kołowym 12 na głównej ulicy miasta stale tworzą się korki, bo wyjazd z ul. Hanki Sawickiej okazał się ważniejszy. Nie jedyny to nonsens. Ruch z kierunku Warszawy i Radomia skierowano trasą objazdową poza śródmieście, co było zamysłem słusznym. Ta trasa objazdowa też ma jeszcze przedzłowne właściwości. Od alei Warszawskiej do ul. Północnej jest trasą główną, ale na skrzyżowaniu z tym odcinkiem Północnej, który biegnie prawie znikąd, jest podporządkowana, na następnym skrzyżowaniu także, chociaż trzeba stać na dużej pochyłości, na kolejnym skrzyżowaniu ma pierwszeństwo, a przy wylocie na aleję Spółdzielczości Pracy znów jest podporządkowana. Prawdziwość lamigłówki, w dodatku oparta na fałszywej zasadzie.

Wiczerami za wejście do restauracji „Astoria” w Lublinie trzeba zapłacić 30 złotych. W zamian otrzymuje się kartkę z napisem „Karta wstępu” i tylko stali bywalcy albo ludzie bardzo dociekliwi wiedzą, że to jest minimum konsumpcyjne a nie wejściowe, co ma niejaki znaczenie przy regulowaniu rachunku (dla klienta i dla kelnera). Altså wykupienie owej dwuznacznej karty wcale nie oznacza, że na sali znajdzie się miejsce siedzące. Jedni kwadransami krążą po sali czekając na zwolnienie miejsca, inni sobie tylko znanymi sposobami zdobywają u obsługi wycielane fotele.

Przepadli mi się dwa zewnętrzne półtoraamperowe bezpieczniki w telewizorze. Pojechałem do sklepu ZUHT-u przy ul. H. Sawickiej — mieli tylko po 2 ampery, więc zrezygnowałem. Ponieważ w innych sklepach też nie było owych drobiazgów po 1,5 zł, złożyłem bezpieczniki z „Syrany” i oświó był doskonały. Altså okazało się, że znamy, którego spotkałem w drzwiach sklepu przy ul. H. Sawickiej, bezpieczniki po 1,5 ampera dostał pół minuty po mnie, bo był grzeczny. Ja zaś ampera dostał pół minuty po mnie, bo był reprezentacyjny 3 minutach czekania zgniewał się, że w reprezentacyjnym sklepie nikt klientów nie obsługuje. No i zostałem ukarany.

JOD

Waliria Sulima

smak miłości i żez

ROSTK & SZYMANKA

Streszczamy (i to bardzo) trzy poprzednie odcinki rewelacyjnej powieści „Poste Restante”. Nina i Mariusz Sakowscy otrzymali już za pośrednictwem ks. Mariusza część spadku po dziadkach. Kiedy wracali autobusem, Mariusz wzbudził zainteresowanie (nowa bohaterka) Barbary. Poznali się na końcowym przystanku. Z kolei Mariuszem zainteresowały się w pracy dwie dziewczyny: Mania, zwana „Kropka” i Zuzanna. „Tylko się nie zakochajcie w Polce, nie ma haremów” — ostrzegł jej ich kierownik...

Zuzanna nie mogła oderwać wzroku od Mariusza. Podziwiała jego tak regularne rysy twarzy, jego czarne — okryte rzesmami niby galczę szro-

na, mówiąc te słowa poczuła się jako nieistotna. Telefon był bardzo czuły. Obie słyszały każde słowo.

— Panie Mariuszu, to ja, Baśka. Pamięta pan? — Jakte by nie. A jak mnie pani tu znalazła? — To tajemnica. Zresztą to naszym miastem, jak się kichnie w jednym końcu, to echo w drugim odpowie „na zdrowie”. Okazało się że mam wspólnych znajomych.

— Nie może być Kogo? — Opatrzem, jak się spotkamy. Co pan robi dzisiaj po południu? — Nic... — Przypomniał sobie o ping-pongu — nie, to znaczy wstawić... — To świetnie, że nie — przerwała mu. — Proponuję, aby o piątej był pan w parku. Pierwsza alejka, trzecia ławka po prawej. Proszę mi nie sprząść sznura. Bardzo proszę. Na razie ciao.

Mariusz odłożył słuchawkę. Chciał coś wymyślić, ale Zuzanna go uprzedziła.

— Widzę, że dzisiaj nie będzie z nauki. Ma pan swoją dziewczynę. Trudno. Rozumiemy to dobrze. Zakochani są sami na świecie... — Dziewczyno? Nie, nie można tak powiedzieć. Po prostu znam ją.

— Ale ona znajoma mocno pana trzyma pod pantofiem! Ta propozycja brzmi jak rozkaz. Odłożył więc tego ping-ponga na jutrzejszą popołudnie. Jeżeli znów nie zadzwonił pana dziewczyna...

— Znajoma, znajoma, nie żadna dziewczyna — zdenerwował się Mariusz.

Nie wracali już do tej rozmowy, ale cała trój-

ka czuła, że klimat jest jakiś inny, że atmosfera się oziębiła.

Mariusz był punktualnie o piątej w parku, ale Baśka musiała przyjąć o kilka minut wcześniej, bo już na niego czekała.

— Fajno, że pan przyszedł — powiedziała podając mu rękę. — Tak się nudziłam, że zatelefonowałam do pana.

— Ale skąd pani znała numer telefonu? — Mamu wspólnych znajomych. Panna pan ich kiedys, ale na razie chcą ich jeszcze wyśledzić. Muszą mi coś o panu powiedzieć interesującego.

— Sam może powiedzieć. Ale dlaczego ja panią tak zaciekałam? — Do pan jest strasznie, strasznie kławy. Moja mama mówiła, że zakochała się w Kajtku od pierwszego wejrzenia.

— W Kajtku? — Tak nazwała mojego starego, znaczy się ojca. I ja u to nigdy nie chciałam wierzyć. Ale teraz chyba zmienić zdanie...

— Panno Basiu... — Mówi mi po prostu — Baśka.

Jakiś dziewczyna przeszła szybko po alejce. Nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie podskoczyła się o kamień, Mariusz zwrócił się dziewczynką, aby pomóc jej wstać.

— Och, dziękuję panu, ale ja chyba skręciłam nogę. Strasznie mnie boli... — Głos był znajomy.

— Panno Zuzanno — zawołał Mariusz...

(dca)